



15 Rok XVI
(804)

CENA 1.50ZŁ

15. 4. 73



(Czytaj na str. 6)

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

WŁÓKNIARZOM NAJLEPSZE ŻYCZENIA

Zbliża się tradycyjne już święto — **DZIEŃ WŁOKNIARZA**. Święto ludzi pracujących w przemyśle lekkim. Zwykliśmy ich nazywać włókniarzami, choć pracują nie tylko w przemyśle włókienniczym, ale i odzieżowym i skórzanym. Im też wszystkim z okazji ich święta składamy serdeczne wyrazy uznania za ich trudną pracę i życzymy sukcesów nie tylko zawodowych, ale i osobistych — w ich życiu prywatnym, rodzinnym.

Przemysł lekki — lekkim jest z nazwy. Jego produkt jest lekki, choć stale poszukiwany na rynku. Jest to jednak przemysł ciężki pod względem warunków pracy. Ładne i atrakcyjne wyroby — tkaniny, odzież, obuwie oraz artykuły techniczne i galanteria — powstają jeszcze w warunkach dalekich od nowoczesności. Czyni to pracę ludzi przemysłu lekkiego trudną i ciężką. A przecież mimo tego dają oni coraz lepsze i ciekawsze wyroby, poszukiwane również i na zagranicznych rynkach. I dlatego nie tylko z okazji **DNIA WŁÓKNIARZA** należą się ludziom tego przemysłu serdeczne wyrazy uznania i podziękowania.

Przemysł lekki zmienia się stopniowo. Odtwarza się stare zakłady w nowych pomieszczeniach, wyposażając je w coraz to nowocześniejsze maszyny. Buduje się nowe fabryki, w instytutach naukowych i centralnych laboratoriach unowocześnia się technika i technologie wytwarzania wyrobów przemysłu lekkiego. Zmiany te stwarzają nadzieję, że już w niedługim czasie — w miarę postępu procesu modernizacji — znacznie poprawią się warunki pracy w przemyśle lekkim. I takich zmian życzymy nie tylko pracownikom tego przemysłu, ale i wszystkim odbiorcom, bo w nowocześniejszych zakładach produkcyjnych będą powstawały nowocześniejsze wyroby.

Łódź i województwo łódzkie stanowią krajowe centrum przemysłu lekkiego. Zbliżające się **ŚWIĘTO WSZYSTKICH LUDZI PRACY** — **1 MAJA** — będzie dla nas okazją dla pokazania najaktualniejszych spraw ludzi z przemysłu lekkiego.

ODGŁOSY



PORT PÓLNOCNY

Cala sterówka drga w takt głuchego dudnienia maszyn holownika. Za nami pozostaje olbrzymia fala bijąca później o brzegi kanału. Wyciągam papierosa, on bierze jednego, chwilę gniecie w grubych palcach i przypala.

— Kaszuby wiedzą co to morze... Z wody idzie bogactwo i tylko je brać — mówi puszczać kłęb dymu.

Nie przerywam a on po chwili pyta:

— Pan zna opowiadkę o sztrądzie?

Nie czekając na moją odpowiedź zaczyna opowiadać.

MACIEJ ZDZIENICKI

— Tu na Kaszubach żyło kiedyś 7 braci — rybaków, którzy dorabiali sobie gromadzeniem tego co przynosi morze. Gdy tylko któryś z nich zobaczył dryfujący wrak, wołał: Okręt na sztrądzie! Na to hasło biegli bracia do łodzi wylawiać z morza łupy. Jak bracia pomarli to dostali się do raju. Piotr frasował się jednak, gdyż mówił mu, że bracia sami sprowadzali obce sta-

(Dalszy ciąg na str. 4)

BERTOLT BRECHT

W 1947 roku Bertolt Brecht stanął przed komisją śledczą (Komisją do Badania Antyamerykańskiej Działalności). Nieznany dotąd tekst jego „przemowy” został po raz pierwszy rozpowszechniony przez „Arbeitskreis Bertolt Brecht”, jako rękopis i opublikowany w „Deutsche Volkszeitung”, ukazującej się w Duesseldorfie.

Urodziłem się w Augsburgu (Niemcy) jako syn dyrektora fabryki, studiowałem nauki przyrodnicze i filozofię na uniwersytetach w Monachium i Berlinie. Miałem lat dwadzieścia, kiedy — będąc sanitariuszem w pierwszej wojnie światowej — napisałem balladę, którą piętnaście lat później reżim hitlerowski podał za przyczynę pozbawienia mnie obywatelstwa.

Wiersz ten przeciwstawił się wojnie i tym, którzy żyłszy w sobie jej przedłużenia.

Zostałem autorem sztuk scenicznych. Przez pewien czas wydawało się, że Niemcy znajdują się na drodze do demokra-

cji. Istniała wolność słowa i wypowiedzi artystycznej.

Jednak w drugiej połowie lat dwudziestych stare reakcyjne siły militarystyczne znów doszły do siebie. Znajdowałem się wówczas na szczycie mojej kariery jako dramaturg, moją sztuką „Opera za trzy grosze” grano w całej Europie. Ale w Niemczech słychać już było głosy, domagające się zniesienia wolności słowa i wypowiedzi artystycznej. Humanistyczne, socjalistyczne, nawet chrześcijańskie idee nazywano „undeutsch” („antyniemieckimi”), którego to słowa nie mogły sobie już inaczej wyobrazić, jak wypowiedzianego wilczą intencją Hitlera.

(Dalszy ciąg na str. 4)

Jest dzień przedwiośnia, kiedy przyjeżdżam do Olecka. Kalendarzowego przedwiośnia, bo tu, na północy, jeziora jeszcze ścigają lodem, także jezioro Olecko Duże, podchodzące pod samo miasto. Aura jest szara, dymy z kominów wloką się nisko, ospale, ale na ulicach sterty przyciętych gałęzi — znak, że i tutaj zaczęły już roboty wiosenne.

W Olecku jestem po raz drugi, zażrzałem tu kiedyś latem, zapamiętałem gęstwinę drzew w rynku, klomby kwietne, schludne ulice, zadbane trawniki. Później dowiedziałem się,

CZŁOWIEK KTÓREMU WYSTARCZAŁ OGAREK

że miasto bierze od kilku lat udział w konkursach gospodarczości, zajmując z reguły czołowe miejsca.

Sporo nowych bloków w śródmieściu, stare domy odnowione, w dzielnicach podmiejskich wille i ogrody, nowy most na rzece, prowadzący do wznesionego w parku na wzgórzu pawilonu-kawiarni. Gdy idę do niej, nagle zatrzymuje mnie przedziwna konstrukcja ulokowana w jednym z ogrodów: symboliczna kula ziemską, którą tworzą metalowe równoleżniki, ostatni równoleżnik u góry przechodzi w rakieta, na równoleżniku data i napis: „20.VII. 1969 — Olecko bohaterem kosmosu”. Napis uzupełniają trzy nazwiska: Collins, Aldrin i Armstrong, pierwszy człowiek, który postawił stopę na księżycu. Ktoś sygnalizuje w ten sposób, że dalekie północne miasto tkwi w samym centrum współczesności. A przecież nie tak znów dawno temu...

„Dnia 18 lipca 1945 roku otrzymałem nominację na burmistrza miasta Olecka. W kilka dni później dostaliśmy skromne zaliczki na poczet przyszłych, jeszcze nieokreślonych poborów. Ponadto na pierwsze potrzeby miasta otrzymałem 10.000 złotych.

Z tej sumy kupiłem w pierwszym rzędzie młodego, silnego konia za 6.000 złotych; uprząż i bryczkę znaleźliśmy w pod-

TADEUSZ GIGGIER

wórzach opuszczonych domów, a siano i zboża nie brakowało. Można było już teraz jeździć do Suwałk po produkty i w sprawach starostwa w teren, nie potrzebując prosić o furmanki wiejskich osadników. Prawie całą resztę otrzymanej dotacji wydałem na wykonanie tabliczek z polskimi nazwami ulic.

Jest to fragment wspomnień Feliksa Jordana-Lubierzyńskiego, zamieszczonych w jego książce „Ziemia olecka z bliska i z daleka”. Książkę tę, już po śmierci autora, wydało Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich i Północnych, a do druku przysposobił ją Krzysztof Wójtowicz, wieloletni działacz Towarzystwa, a zarazem mój kolega redakcyjny. Wspominam

(Dalszy ciąg na str. 7)

**WKRÓTCE
POWIEŚĆ**

NA MIARĘ POTRZEB I ASPIRACJI

Na sali trzystu delegatów, którym mandaty powierzyła 86-tysięczna organizacja partyjna i cała klasa robotnicza naszego miasta. Auditorium skromnie udekorowane. Nad prezydium biała plansza z profilem Lenina, powiększenie historycznego plakatu. Obok hasło: PARTIA SILNĄ SIŁĄ KLASY ROBOTNICZEJ, A KLASA ROBOTNICZA SIŁĄ SWEJ PARTII. To hasło, ale jednocześnie coś znacznie więcej niż hasło — prawda potwierdzona przekonująco doświadczeniem ostatnich dwóch lat.

Międzynarodówka, otwarcie konferencji, powołanie prezydium. Oklaski dla gości. Przedstawiciele władz centralnych to nie tylko dobrzy znajomi partyjnego aktywu, ale i wszystkich mieszkańców Łodzi. Towarzysz Jan Szydłak szczególnie od dwóch lat związany z naszym miastem, wicepremier Olszewski, mianowany ostatnio przewodniczącym partyjno-rządowej komisji ds. rozwoju Łodzi, tow. Jerzy Mu-

szyński, I sekretarz KW, minister Kunicki, sekretarz CRZZ, Irena Sroczyńska.

Referaty Egzekutywy KŁ i Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi są krótkie. Towarzysze Bolesław Koperski i Jerzy Lorens przypominają w nich najważniejsze sprawy, dokonania, sukcesy, a także i to wszystko co jeszcze hamuje i przeszkadza. Są to bilanse dwulecia działalności partyjnej i gospodarczej, sumy faktów i doświadczeń. Bilans to może nie najlepsze określenie, kojarzy się z czymś ostatecznie zamkniętym, kiedy te podsumowania mają charakter otwarty, są skierowane bliższą i dalszą przyszłość. Nie były to akcenty przypadkowe. To, czego dokonaliśmy i z czego można być dumnym, to już teraz, dzisiaj, tylko zwykły punkt startu — do jeszcze wyższego lotu.

Rozumieli to doskonale towarzysze zabierający głos w dyskusji. Słodsza duma z sukcesów i osiągnięć, poczucie wartości reprezentowanych na trybunie konferen-

cyj kolektywów, były stonowane i w odpowiedniej proporcji do oczekujących, jeszcze trudniejszych zadań. Wystąpienia były krótkie, dziesięciominutowe. Zwracam uwagę na te, zdawałoby się drugorzędne sprawy, ale tak nie jest. Chcę przez to podkreślić rzeczowość i konkretność, roboczy charakter tej partyjnej debaty. A jednocześnie jest to jeden z przykładów zmiany stylu działania. Mamy za sobą okres taśmowych referatów, które bardziej przypominały monolog wewnątrz; dyskusje nie są już lawiną optymistycznych meldunków bez pokrycia.

A więc rzeczowość, obiektywizm, często troska, że jeszcze nie tak jak być powinno. I wiara we własne siły... Postulaty, wnioski, dzielone się doświadczeniami. Do dyskusji zapisała się prawie pięćdziesiątka delegatów. Mimo kilku godzin poświęconych na dyskusję mogła wypowiedzieć się tylko połowa, ale w konfe-

rencyjnych dokumentach ujęte zostaną wszystkie wnioski. Chciałoby się tutaj przytoczyć wiele wypowiedzi, konkretne liczby i celne sformułowania, oryginalne myśli. „Głos Robotniczy” zamieścił obszerny stenogram z prac konferencji, więc nie chcę się powtarzać. Chodzi mi o coś innego, o atmosferę, coś co jest równie ważne, a trudne czy wprost niemożliwe w skrótownym zapisie.

Wspomniałem o postulatach. Jak wiele trzeba jeszcze zrobić, by nasze miasto stało się dla jego mieszkańców miastem na miarę potrzeb i aspiracji. Chociażby mieszkańca... Ile jeszcze zakładów pracuje w bardzo trudnych warunkach... Ile trzeba zrobić nie tylko w sensie materialnego podniesienia poziomu życia mieszkańców, ale przyspieszać rozwój nauki, oświaty, upowszechniania kultury. Ta świadomość na sali obrad była powszechna zarówno wśród towarzyszy z prezydium, jak i wśród tych siedzących przy długich rzędach stołów. Świadomość tego, co jest potrzebne i co trzeba zrobić — i świadomość

możliwości. Możliwości ujętych w planie działania i tych ponadplanowych, które wzmocnionym wysiłkiem umysłów i rąk można dodatkowo wypracować. Tylko takie możliwości dyktuje twardy realizm. O innych nawet nie wspominało. Nauczaliśmy się bowiem mierzyć siły na zamiary. I liczyć, sumować liczby, na które jest pokrycie, gwarancja w postaci zobowiązań łódzkiej klasy robotniczej, 1,5 miliarda wnosi Łódź do banku „30 miliardów”. A przecież nie jest to ostatnie słowo...

W przerwach delegaci oglądali wystawę nowości łódzkiego przemysłu. Artykuły techniczne, odzieżowe. Takiej wizytówki nasz przemysł nie musi się wstydzić, z takimi wyrobami można skutecznie konkurować na każdym rynku. Można by tylko życzyć nam i wszystkim zakładom w mieście, by wyłącznie produkowały wyroby takiej klasy.

Dwa lata w życiu miasta to niewiele, ale te, o których tu mowa, były czasem

wyjątkowym. Były sprawnym działaniem możliwości. Towarzysz Jan Szydłak przypominał pewien sceptycyzm i obawy z jakim dwa lata temu poprzednia konferencja przyjmowała program działania. Wówczas istniały po stronie autorów tego programu raczej „teoretyczne”, nawet wśród aktywów było więcej zaufania niż pewności. Obecnie są gwarancje w postaci dokonania, znamy swoje możliwości i wiemy, że są one jeszcze większe.

„Mamy potrzebne środki i ofiarny aktyw — powiedział I sekretarz KŁ tow. Bolesław Koperski — i wypracowany przez konferencję program w pełni wykonamy”. W tych słowach jest przekonanie łódzkiej organizacji partyjnej, klasy robotniczej i całego społeczeństwa naszego miasta. Czas może do tego stwierdzenia I sekretarza KŁ wnieść tylko jedną korektę... w górę!

(J. W.)

LOGIKA

„Logos” znaczy słowo, myśl, rozprawę, dowód. Logika — jest nauką o sposobach jasnego i ścisłego formułowania myśli, nauką o poprawnym rozumowaniu. „Logiczny” — to i naczaj racjonalny, konsekwentny, sensowny. Przypomniałem sobie o tych prawdach widząc kiedyś dwie sasiadujące z sobą budowle. Po jednej stronie ulicy stał internat szkoły zawodowej. Wcześniej był ciepły, po wiosennych chłodach nagłe przyszło ciepło, internat był męski, chłopców postawiali okna, buchała z nich adapterowa i radiowa muzyka. Pod internatem kręciły się dziewczęta, otoczone grupami chłopaków. Pohukiwano do siebie z ulicy i okien. Normalny wiosenny obrazek, kiedy

młodość nie czuje się skrepowana, daje o sobie znać krzykiem i hałasem. Nie w tym nadzwyczajnego, gdyby nie sasiadztwo.

Po drugiej stronie ulicy jest bowiem dom dla ludzi przewlekła choroba, dla tych, którym niezbędna jest opieka, aby mogli w bólach i cierpieniach przetrzymać resztę swego życia. Dla nich potrzebny jest spokój. A tego spokoju nie daje sasiadztwo z młodocianością.

Czy można mieć do młodych pretensje, że demonstrują swoją siłę vitalną? Nie! Stanowczo, nie! Ale trzeba mieć pretensje do ludzi, którzy utokowali w bezpośrednim sąsiedztwie — te dwie budowle, o tak różnym przecież charakterze, i właśnie wiedzy nasunęło mi się słowo: „nieologicznie”, bowiem tak postąpiono w tej sytuacji. Wiem, że oba budynki o tak różnym przeznaczeniu budowano w różnym czasie, że najpierw powstał internat, a dopiero później dom dla ludzi chorych. Ale, czy to coś tłumaczy? Przeciwnie —

moim zdaniem. Dowodzi tylko, że ktoś, albo cały zespół ktoś nie pomyślał nad tym w porę, nie posłużył się logiką. Gorzej, bo już znacznie później zaczęto w pobliżu budować hotel robotniczy.

Dzisiaj już późno na jakąkolwiek zmianę. Stało się. Oba budynki stoją i funkcjonują, trzeci budynek się i stać będą długie lata, sasiadując z sobą na zupełnie paradoksalnych warunkach. Ale czy to są jedyne przypadki braku logiki w planowaniu miasta?

Niedawnych spotkaniach delegatów na łódzkiej Konferencji Partyjnej wiele mówiło się o przykładach braku logiki w planowaniu. Mówiono o rurociągu centralnego ogrzewania, który znajduje się pod schodami jednej z łódzkich kawiarni, mówiono o domie, który wybudowano w identycznym położeniu. W pierwszym przypadku, kiedy nastąpi awaria — a wszystko trzeba przecież przewidywać — przy-

dzie rozbić schody. Zamknę się kawiarnię na ten czas. Kosztują dużo, ale to i tak mniejszy kłopot niż może wydarzyć się w drugim przypadku. Wtedy przyjdzie rozebrać dom.

Mógłbym tu wrócić do starej melodii, do melodii sprzed lat, do melodii ciągle jeszcze — niestety — aktualnej. Do sprawy koordynacji — inaczej: uzgodnienia, zharmonizowania, uporządkowania współdziałania. Ileż to już na ten temat napisano, ileż mów wypowiadano? A rezultaty? Nie zawsze — jak widać z tych przykładów — najlepsze. Co prawda, wiele i tu się zmieniło, ale czy dostatecznie?

Przytoczone przykłady pochodzą z przeszłości. To prawda. Ale ich potencjalne skutki sięgają w teraźniejszość. Siegną również w przyszłość. Mam ciągle wątpliwość, czy w naszym teraźniejszym działaniu w dostatecznym miarze dochodzi do głosu logika i zasada racjonalnej koordynacji? Nie chciałbym

bowiem znów za jakiś czas przytaczać przykłady braku tych obu zasad, bo skutki tego mogą nas drogo kosztować. Jednocześnie chciałbym zastrzec się, że nie nawołuję do czasów, kiedy uzgadnianie założeń każdego projektu wymagało znacznie większego nakładu pracy niż samą projektowanie. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na społeczne koszty braku logiki i błędnej koordynacji. Dzieje się to za społeczne pieniądze. To

my wszyscy płacimy za błędy i niedopatrzania tych, którzy podejmują decyzje w naszym imieniu. Społeczne wydawanie pieniędzy wymaga społecznej kontroli. Trudno, aby każdy projekt był publicznie dyskutowany. Ale można i trzeba do magać się odpowiedzialności od ludzi, którzy decydują o wydawaniu społecznych pieniędzy.

MARCIN RODAK

- 343...
- Dobrze. Ale niech pan wyjdzie pierwszy.
- Dlaczego?
- Tak będzie lepiej. Oni tu mają na mnie oko.
- Przyjdiesz na pewno?
- Tak. Tylko niech pan uprzedzi windziarza.
Jak daleko zaszły sprawy dowiedzieć się z kolejnego reportażu Andrzeja Makowieckiego z cyklu „Grandologia”. Tym razem z warszawskiej high society, JUŻ W NASTĘPNYM NUMERZE!

ZE ŚWIATA

Miniony tydzień można określić mianem tygodnia wizyt z łatwością bowiem doliczamy się kilku spotkań mężów stanu, które wzbudziły zainteresowanie prasy. Mamy tu na myśli wizyty: N. Podgornego w Finlandii, A. Kosygina w Szwecji, Thieu w Stanach Zjednoczonych i zapowiedzianą w tymże kraju Brandta, N. Nimeiri (prezydenta Sudanu) w Rumunii, min. S. Olszowskiego w Jugosławii. Zapowiedziano także oficjalnie przyjazd do Bonn Leonida Breżniewa i jego rozmowy z kanclerzem Brandtem... Niektórym z tych wizyt chcemy poświęcić nieco miejsca w dzisiejszym komentarzu.

Szwedzka podróż premiera Kosygina była pierwszą od pięciu lat. Wspólny komunikat przynosi ocenę roli Szwecji jako kraju niezaangażowanego oraz zapowiada rozwój politycznych i gospodarczych stosunków szwedzko-radzieckich. Zdaniem komentatorów — fakt, że premier Kosygin aż dwa dni poświęcił na zwiedzenie czolowych zakładów przemysłowych, świadczy o dominowaniu w rozmowach problemów współpracy gospodarczej.

Ale jednocześnie wizyta miała znaczenie ogólniejsze — dała okazję radzieckiemu premierowi do wypowiedzi na najaktualniejsze kwestie polityki światowej. I tak np. na konferencji prasowej ze szczególną ostrością wystąpiły problemy Bliskiego Wschodu. Podkreślając, że nie można jednakowo traktować ofiary agresji i agresora, premier domagał się zrealizowania przez Izrael rezolucji Rady Bezpieczeństwa. Mówił także o prawach narodu palestyńskiego. Dużo uwagi poświęcił sprawom Wietnamu, podkreślając, że olbrzymia pomoc, jakiej udzielał Związek Radziecki, przyczyniła się do pomyślnego zakończenia wojny. Teraz najważniejszą sprawą jest pełne wprowadzenie w życie porozumienia paryskiego. Rozwiązanie problemu Wietnamu do końca jest w rękach samych Wietnamczyków, a zadaniem narodów świata jest „wciągnięcie Indochin w sferę pokoju”.

Na tejże konferencji A. Kosygin mówił również o stosunkach radziecko-chińskich. Napięcie w stosunkach z Chinami powstało nie z winy Związku Radzieckiego. To przywódca chiński podniósł wrzawę na temat rzekomego zagrożenia Chin przez ZSRR. To niedorzeczne oskarżenie ma swe źródło w wewnętrznych trudnościach tego kraju. Ze strony Związku Radzieckiego nadal czynione będzie wszystko, aby znormalizować stosunki z Chinami. — Jesteśmy bowiem przekonani — powiedział premier — że ludzie pracy Chin nie pragną napięcia w stosunkach z ZSRR, a przeciwnie — pragną pokojowego współistnienia. Wcześniej czy później zostanie ono osiągnięte.

Te właśnie międzynarodowe akcenty sprawiły, że szwedzka wizyta premiera Kosygina wzbudziła duże zainteresowanie prasy światowej.

Z innych względów — liczne komentarze towarzyszyły wizycie prezydenta administracji sajsjońskiej — Thieu w Waszyngtonie. Zdaniem komentatorów — przybył on do stolicy USA głównie po to, aby nakłonić kongresmanów do poparcia obietnicy pomocy Wietnamowi Południowemu. Tego rodzaju obietnicę złożył swego czasu — w toku rozmów w Kalifornii — prezydent Nixon. Ale kongresmani sprzeciwiali się uruchomieniu znacznych środków dla reżimu niezdolnego do przetrwania. Wzięli więc w krzyżowy ogień Thieu, który wykrzusił m. in., że „nigdy, przynigdy nie zwrócimy się do Stanów Zjednoczonych, aby ponownie przysłały swe wojska do Wietnamu”.

Za równie sensacyjne uznaje się w komentarzach zdanie z komunikatu po rozmowach Thieu z Nixonem, że — zacytujemy — „prezydent Nixon poinformował prezydenta Thieu o swym żywym zainteresowaniu konferencją przedstawicieli obu stron południowowietnamskich”. Uznaje się je za ostrzeżenie pod adresem administracji sajsjońskiej, aby nie hamowała rozmów. Jak wiadomo — dotychczas delegacja Sajgonu stwarza różne trudności w rokowaniach z przedstawicielami Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego.

Mimo wszystko — jak informują agencje — Thieu jest

z wizyty zadowolony. Wytargował dolary i wyniósł przewidziane, że jest nadal potrzebny Stanom Zjednoczonym.

Aby nie zatrzymywać uwagi Czytelników wyłącznie na wizytach — proponujemy teraz zmianę tematu. Przenieśmy się do Francji, gdzie w ostatnich dniach powołany został nowy gabinet pod przewodnictwem dotychczasowego premiera — Messmera, wybrano nowego przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego — Edgara Faure'a, a prezydent Pompidou wygłosił orędzie, które wskazuje na umocnienie jego pozycji. Zaproponował on skrócenie mandatu prezydenckiego z siedmiu do pięciu lat, co daje mu szansę ponownego wyboru. W ten sposób zamiast przez 7 lat Pompidou może pozostać głową państwa przez okres 10-letni.

W składzie nowego rządu francuskiego zaszły dość daleko idące zmiany. Dwie teki ministerialne objęli ludzie, którzy nie są politykami i członkami parlamentu. Jednym z nich jest M. Jobert, który został ministrem Spraw Zagranicznych, co — jak pisał — „Le Monde” jest wydarzeniem bez precedensu od 1851 r. Jobert jest bliskim współpracownikiem Pompidou od 10 lat, towarzyszył mu w licznych podróżach. Objęcie przez niego tego resortu wydaje się wskazywać, że Pompidou sam chce sterować polityką zagraniczną Francji. Drugim — Maurice Druon, pisarz i dramaturg, który objął Ministerstwo Kultury.

Zmiany w gabinecie francuskim i analiza nowego składu prowadzą do wniosku, że rząd ma charakter technokratyczny, a wszystkie najważniejsze sprawy państwa zbierać się będą w rękach prezydenta. Dlatego np. „Figaro” pisze, że trzeba we Francji zacząć mówić o „rządzie prezydenckim”, który stanowić będzie osobistą egzekutywę Pompidou.

Jakie z tego wynika zmiany w życiu politycznym, społecznym i gospodarczym Francji? Nad tym właśnie zastanawia się wielu komentatorów...

W. SŁAWSKI



ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLIH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stałe współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

KONFRONTACJE

„Słucham tego, co mówimy i wspominając najpiękniejszy film tegorocznych Konfrontacji — „Dyskretny urok burżazji” Bunuela, widzę nas wszystkich na owym gościńcu, którym szli bohaterowie tego filmu. Tak idziemy od Konfrontacji do Konfrontacji, a kolejne pokazywane filmy to, jak u Bunuela, następujące po sobie sny. A to, co mówimy, a klimat tych rozmów? — doprawdy ma to swój „dyskretny urok...” (Głos w dyskusji)

„Konfrontacje 1972” rozpoczęły się w Łodzi tydzień później niż w stolicy, toteż i wrażenia z nich relacjonować musimy z pewnym opóźnieniem. Coroczne „Konfrontacje” są imprezą organizowaną wyłącznie w dwu miastach, widać jednak, że nadaje im się rangę wydarzenia kulturalnego na miarę ogólnopolską, skoro relacjami z ich przebiegu obdarowuje się cały kraj.

Mając wyżej wymienione względy na uwadze, rezygnujemy w tym roku z jeszcze jednej wypowiedzi recenzenckiej i oddajemy głos tym, którzy z własnej woli spędzili czternaście kolejnych dni w sali kina „Bałtyk” i z tego samego powodu wzięli udział w dyskusji, która odbyła się po „Konfrontacjach” w bardzo ostatnio aktywnym Kinie Studyjnym ŁDK.

Zachowanie anonimowości wypowiedzi jest odpowiednikiem sytuacji niewiedzy o publiczności, która szczególnie wypełniała widownię kina „Konfrontacji”. Stąd pojawiające się pytania o potrzebę, cel i rolę „Konfrontacji” pozostają nadal pytaniami zawieszonymi. Nie wiemy, dlaczego ludzie tę, tak przecież drogą, męczącą i nie zawsze wszystkich satysfakcjonującą imprezę zaakceptowali, kto i dlaczego w niej uczestniczy? Warto by może za rok spróbować na te pytania odpowiedzieć — oczywiście nie przy pomocy intuicyjnych domniemań recenzentów.

Nie o wszystkich trzynastu filmach „Konfrontacji” będzie tu mowa, lecz o tych, o których dyskutowano, dając tym samym wyraz procesowi wartościowania.

KINO POLITYCZNE — JAKIE ONO JEST?

Tegoroczne Konfrontacje zdominował temat — polityka. I choć były to różne propozycje kina politycznego, sądzę, że taki dobór filmów, prawdopodobnie zamierzony, bo nurt ten jest dość charakterystyczny dla ostatnich filmowych dokonaniach, ograniczył jednak możliwość przyjrzenia się innym tendencjom, czy po prostu przekreślił możliwość obejrzenia naprawdę najgłośniejszych filmów ostatniego roku. Warto by może zastanowić się na nowo nad ideą „Konfrontacji”. Co w nich się pokazuje — filmy nagrodzone festiwalowymi laureami, filmy rzeczywiście najbardziej dyskutowane i kontrowersyjne, czy może

właśnie filmy grupowane według jakiejś nadrzędnej idei? A może warto nie ograniczać „Konfrontacji” wyłącznie do pokazów filmów?

A więc w tym roku filmy polityczne. Jakże? Uderz i mnie pacyfistyczny ton dwu filmów, które podjęły temat wojny i jej wpływu na moralność jednostki i zbiorowości, był on cechą „Gości” i filmu „Mieć 20 lat w Aures”. Ich szlachetny skądinąd ton szedł jednak w parze z pewnym sentymentalizmem, a publicystyczne tezy zbyt grubą nicią były szyte. Co więcej, wydaje mi się, że „Goście” Kazana — film o ważnych dla amerykańskiego społeczeństwa sprawach, można nawet traktować jako film niebezpieczny, bo w końcu bardzo płytki. Żartowaliśmy sobie niedawno z komputerowego zaprogramowania „Love story”, czy przypadkiem przy „Gościach” nie można mówić o tym samym? Jeśli tak, to z poważnym filmem politycznym nie mamy tu do czynienia.

Film Kazana nie jest tylko dobrym filmem psychologicznym. Polityka czy teza publicystyczna, zawarta w obu wspomnianych filmach, jest zbyt naiwnie przedstawiona, by można ją serio traktować. O wojnie, o jej wpływie na jednostkę i całe społeczeństwo, o skażeniu wojną powstawały i powstają filmy wielkie i małe w tej stronie świata, w której my żyjemy. Do dojrzałości tych spojrzeń daleko chyba jeszcze Amerykanom. Uważam natomiast, że kino socjalistyczne winno dziś stać na równie dojrzałe propozycje z zakresu

współczesnego tematu politycznego i społecznego. Niestety, w tegorocznych „Konfrontacjach” takich propozycji nie było. Piękny film Kutza mówił o tradycji i historii, podobnie „Dopóki lud prosi” Jancso. Rosjanie i Czesi znów wrócili do czasów wojny. A gdzie współczesność?

Film Jancso to dzieło tak stylistycznie i metaforycznie zawikłane, że traci się perspektywę całości. Rewolucyjna carnagiona chwytów filmowych sprawia wrażenie, że bunt chłopów, wyrastający na polu z Biblii, na polu z Marksa jest tu zaledwie pretekstem do zaprezentowania karnawału ludowego — trzeba przyznać, że fascynującego.

Krytyka pisze, że Jancso nawiązuje do autentycznych wydarzeń, doprawdy, jest to w tym filmie najmniej istotne. Z prawdziwym zainteresowaniem oglądałam natomiast chilijski rekonstruowany dokument, pomijam tu polityczną sympatię, z jaką śledzimy wysiłki rządu prezydenta Allende. Film ten nie jest obrazem rozmaitych formuł walki rewolucyjnej. Dominująca w tym filmie funkcja autotematyczna, tworzy zeń dzieło na temat wyboru środków artystycznej wypowiedzi, zdolnych zawrzeć ideę rewolucji. „Sprawę Mattei” Rossiego cenię wysoko za uczciwość i rzetelność w przedstawieniu konkretnej, żywej i aktualnej wciąż problematyki. Mafia, jako klucz do polityki współczesnego świata, sprawa to nie nowa, tu pokazana została przez pryzmat fascynującej postaci, walczącej z gigantami zachodniego biznesu. Można było z tego tematu zrobić sensacyjny melodramat, a powstał nieskazitelny warsztatowo i wątki politycznie reportaż.

ŚWIAT MECHANICZNEJ POMARAŃCZY?

Dyskutowanym tu filmom dano etykietę — politycznych, gdyż w swej wymowie, więcej — intencjach takimi są, to nie ulega kwestii.

Oczywiście można spierać się o walor tej polityczności. Chciałabym zwrócić uwagę, że w każdym współczesnym temacie społeczno-obejzajowym, odnależć można zawarte w nim akcenty polityczne. Są one przecież i w „Dyskretnym uroku burżazji” i w sensacyjno-gangsterskim „Francuskim łączniku”. Jakże oblicze wielkich polityków pokazuje również „Mechaniczna pomarańcza” Kubricka, choć film ten nie ów temat czyni sprawą centralną swej refleksji.

Wbrew temu, co o tym filmie pisano, nie sądzę, że „Mechaniczna pomarańcza” jest prognozą na temat naszej cywilizacji w wieku XXI. Poszczególne elementy ekranowej rzeczywistości znane są nam bądź z autopsji, bądź z rozlicznych lektur i wszystkie one charakteryzują współczesność z jej kulturowymi i cywilizacyjnymi przesostami. Natomiast ich układ — groteskowa deformacja — jest reżyserskim zabiegiem, dyktowanym przez ideowe zamierzenie filmu. Sex-bar z hulaśliwą muzyką, supernowoczesny home pisarza, więzienie, rozgrywki polityczne, skurczopowiana nauka i polityczna publicyści tworzą jakiś irrealny (pozornie) świat. Dozbawiony jakichkolwiek pozytywnych wartości: rodzice — kukły, uczone — schizofrenik, pisarz — mściwy liberal, nawet IX Symfonii słuchamy przy pomocy niezbyt nowoczesnych mechanizmów. Co paradoksalne — jedną postacią ludzką w tym świecie mechanicznej pomarańczy, jest „mały” Alex, wyzwolony bandyta, którego nie ma się w rezultacie najnowocześniejszy sposób reedukacji. Z dialektyki dobra i zła, którą prezentuje Kubrick, Alex zrozumiał jedną zasadę — dobro jest grą, fałszem, przybieraną maską, jest możliwością powrotu do niczym nieskrępowanej swobody. Czy to o to chodziło?

Czy taki byłby morał filmu — bo jest w nim coś z moralizatorstwa? Dla mnie film Kubricka jest raczej autoparodią — poczynając od tytułu, który światlejsi strukturaliści chcieliby interpretować jako typową opozycję: natura — kultura. Jest parodią współczesnych wytworów kultury, jej fetyszy i idoli, a film w tej kulturze odgrywa rolę pierwszorzędą.

Mam wątpliwości, czy „Mechaniczna pomarańcza” jest zamierzoną autoparodią. Film ten, tak jak sztuka masowa, powiela pewne schematy, posługuje się rzeczami znanymi i tworzy z tego nową całość, ale czy nową jakością? Kubrick, tak jak to robi sztuka masowa, zestawia „Beethovenia z pornografią” — nie wiem jednak, czy on z tym walczy, czy sam jest w tym zanurzony. Odnosiłam wrażenie, że świadomość Kubricka nie jest tu śmielsza, niż świata, który pokazuje. Dlatego film ten nie dał mi myślowej satysfakcji.

Mechaniczna pomarańcza to film o fałszu współczesnej kultury, o człowieku rzuconym w świat, w którym wartości się wymieszają. Lecz Kubrick zajął w swym filmie wyłącznie postawę kibica — ironisty, a jest to postawa człowieka przegranego.

Traktując ten film jako straszliwy obraz dehumanizacji świata, jego komputerowo-atomowej cywilizacji, jako obraz zlodowacenia kultury. Jest to film przerażających diagnoz społeczno-obejzajowych, ponieważ sprawdzalnych na co dzień. Bandytyzm, okrucieństwo, głupota, rozbuchany erotyzm czy już pornografia znalazły w tym filmie swój groteskowy, spotęgowany obraz: czy ku niemu świat jednak nie kroczy? Pytanie to „Mechaniczna pomarańcza” stawia, dlatego nie oszczędza nikogo — ni państwa, ni szkoły, ni rodziny, ni artystów. Sztuka ma prawo działać metodą wstrząsów i szoku. Tę drogę wybrał Kubrick, który nie tylko ironizuje na temat współczesnej kultury. Trudno go zresztą kibicem-ironistą nazwać. Zbyt wiele w tym filmie pasji, nawet jeśli zakryła ją gorzka ironia.

A „PRYWATNE” KINO?

Czy nie wydaje się Państwu, że w ostatniej sekwencji „Rzymu-Fellini” znaleźliśmy te same, choć w tak innym filmie postawione, pytania, jak w utworze Kubricka? Do kogo należy dziś Rzym — z całą swoją wielką, przez wieki nakładającą się kulturą, z całą swoją narodową, włoską rzymością, tą, którą Fellini chce jeszcze ratować? I chyba już nie potrafi, skoro miasto swoje oddaje we władanie przerażającemu korowodowi zmotoryzowanych „czarnych aniołów”.

Fellini rozczarował. Stereotypowa forma filmowego afresko, parę znakomitych pomysłów, przy tym wszystkim nudna dosłowność

od tytułu, który światlejsi strukturaliści chcieliby interpretować jako typową opozycję: natura — kultura. Jest parodią współczesnych wytworów kultury, jej fetyszy i idoli, a film w tej kulturze odgrywa rolę pierwszorzędą.

Mam wątpliwości, czy „Mechaniczna pomarańcza” jest zamierzoną autoparodią. Film ten, tak jak sztuka masowa, powiela pewne schematy, posługuje się rzeczami znanymi i tworzy z tego nową całość, ale czy nową jakością? Kubrick, tak jak to robi sztuka masowa, zestawia „Beethovenia z pornografią” — nie wiem jednak, czy on z tym walczy, czy sam jest w tym zanurzony. Odnosiłam wrażenie, że świadomość Kubricka nie jest tu śmielsza, niż świata, który pokazuje. Dlatego film ten nie dał mi myślowej satysfakcji.

Mechaniczna pomarańcza to film o fałszu współczesnej kultury, o człowieku rzuconym w świat, w którym wartości się wymieszają. Lecz Kubrick zajął w swym filmie wyłącznie postawę kibica — ironisty, a jest to postawa człowieka przegranego.

Traktując ten film jako straszliwy obraz dehumanizacji świata, jego komputerowo-atomowej cywilizacji, jako obraz zlodowacenia kultury. Jest to film przerażających diagnoz społeczno-obejzajowych, ponieważ sprawdzalnych na co dzień. Bandytyzm, okrucieństwo, głupota, rozbuchany erotyzm czy już pornografia znalazły w tym filmie swój groteskowy, spotęgowany obraz: czy ku niemu świat jednak nie kroczy? Pytanie to „Mechaniczna pomarańcza” stawia, dlatego nie oszczędza nikogo — ni państwa, ni szkoły, ni rodziny, ni artystów. Sztuka ma prawo działać metodą wstrząsów i szoku. Tę drogę wybrał Kubrick, który nie tylko ironizuje na temat współczesnej kultury. Trudno go zresztą kibicem-ironistą nazwać. Zbyt wiele w tym filmie pasji, nawet jeśli zakryła ją gorzka ironia.

Czy nie wydaje się Państwu, że w ostatniej sekwencji „Rzymu-Fellini” znaleźliśmy te same, choć w tak innym filmie postawione, pytania, jak w utworze Kubricka? Do kogo należy dziś Rzym — z całą swoją wielką, przez wieki nakładającą się kulturą, z całą swoją narodową, włoską rzymością, tą, którą Fellini chce jeszcze ratować? I chyba już nie potrafi, skoro miasto swoje oddaje we władanie przerażającemu korowodowi zmotoryzowanych „czarnych aniołów”.

Fellini rozczarował. Stereotypowa forma filmowego afresko, parę znakomitych pomysłów, przy tym wszystkim nudna dosłowność

obrazu Wiecznego Miasta. Zakończony w Rzymie, nie wyszedł Fellini poza powierzchowne obserwacje sentymentalnego spiranta. Gargantualne matrony, także biesiady, trochę żartów o kościelnych celebrantach, burdelowe żywioły i malownicza starożytność, kabaret dla ubogich oraz chwila refleksji, przy niknących postaciach z podziemnych fresków. „Idź spać, Federico” — mówi w tym filmie Anna Magnani. Oto najkrótsza recenzja.

Bunuel i Fellini zapropowowali nam kino osobiste, każdy z nich ową prywatność rozumiał i traktował inaczej. I każdy z nich ze sfery prywatności przeszedł do konstatacji i uogólnień daleko poza nią wykraczających. Rzym z powierzchni obserwacji, Rzym nie wychodzący poza stereotypową wiedzę o tym mieście? Życzymy każdemu miastu świata takiego intymnego pamiętnika jednego choćby jego mieszkańca. Wydaje nam się, że znamy to miasto, nawet jeśli w nim nie byliśmy. Okazuje się to jednak nieprawdą. Mogę Felliniemu nie wierzyć, że Rzym jest naprawdę taki, bo to jego Rzym. Filmowi temu zawdzięczam jednak wzruszenia, które tak rzadko dziś sztuka nam ofiarowuje. Za jedną sekwencję — opiewać o starożymskich freskach — oddam dziesiątki innych filmów, a takich sekwencji w filmie tym było wiele. A nie tylko o piękno i niezwykły klimat tego filmu chodzi, jego refleksje, wychodzące z najbardziej osłótego o Wiecznym Mieście wspomnienia, dochodzą do prawd szerszych, odnoszących się do cywilizacji i kultury współczesnej w ogóle.

Warto może zwrócić uwagę na jeszcze jeden moment — w czasach, gdy jesteśmy w kinie świadkami ciągłych pogoni za nowinkami tematycznymi, gdy jego twórcy przeciągają się w poszukiwaniu środków, którymi można zdumiewać i szokować odbiorców, obaj ci twórcy pozostają wierni sobie, swoim własnym tematom, czy nawet obsesjom. Prezentują najwyższy kunszt artystyczny, pozostając wierni swemu stylowi, swemu „charakterowi pisma”, w każdym swym następnym dziele doprowadzają go do jeszcze większej konsekwencji. Wydają się niespożyty — za takim „prywatnym kinem” opowiadać się będą zawsze. Ta prywatność staje się bowiem własnością wszystkich i każe wierzyć, że film bywa również wielką sztuką, nawet, jeśli na co dzień nie zawsze daje się to zauważyć, a czego dowodem były i tegoroczne „Konfrontacje”.

Opracowała:
EWA NURCZYŃSKA



GRANDOLOGIA

Uprzejmie proszę o zamieszczenie w „Ogłoszeniach” poniższego sprostowania. W nr 9 (4. III 1973) „Ogłoszeń” ukazał się artykuł Andrzeja Makowieckiego pt. „Grandologia”. We wstępie autor przedstawia swoje poszukiwania dzieł Grand Hotelu, a nie mogąc nigdzie ich znaleźć, udaje się do red. J. Wilmańskiego. „A później zagłębił się w mroki przeszłości” — pisze dalej A. M. Jakże „mroki”? Wydaje mi się, że obaj panowie redaktorzy „zagłębił się” raczej w książkę pt. „Ulica Piotrkowska”, co pragnę poniżej udowodnić cytując fragmenty artykułu A. M. oraz opis Grand Hotelu, zawarty na str. 179—180 „Ulicy Piotrkowskiej” (wyd. z XII 1970 r.). Wykrzykniki w tekście A. M. są moje, zwracając uwagę na poczynione tam błędy.

RED. A. M.

„Otóż w 1860 roku stały w tym miejscu (...) dwa drewniane, rachityczne (!) domki i dopiero po dwunastu latach zastąpiono je murywanym, dwupiętrowym, zdobnym w gzymsy i fryzy gmachem (...) W posesji mieściła się fabryka wyrobów wełnianych (...) W r. 1888 gmaszysko (!) uległo przebudowie, której autorem był znany polski architekt Romuald (!) Majewski. W tym samym roku Ludwik Mayer (!), prawnik i właściciel nieruchomości, puścił ją w dzierżawę niejakiemu Schwarzwizowi, Austriakowi, który założył tu pierwszy (!) hotel, składający się z 45 pokoi w cenie od jednego do trzech i pół rubla za dobe. W 1896 r. hotel posiadał już 70 numerów oraz salę balową i restauracyjną, przy czym na parterze był skład towarów Meyera. W 1904 roku Meyer sprzedał hotel Towarzystwu Akcyjnemu Grand Hotel za 475.000 rubli (...) Konsorcjum fabrykantów i kupców, które kupiło w 1911 r. akcje hotelu, wybudowało czteropiętrowy hotel i klasy według projektu Dawida Landego. Budowę ukończono w 1913 r. (...) W nowym Grand Hotelu znajdowała się elegancka restauracja (...), 150 pokoi z ciepłą wodą i telefonami. Zaprowadzono kanalizację, wodociąg, filtry biologiczne, oświetlenie elektryczne i gazowe (...), siedem wind (...)”.

RED. A. M.

„(Wilmański) cytuje mi pomieszczenia w przewodniku „Łódź” (Warszawa 1909) wypowiedzi Francuza De Verdmont-Jacquesa; „Do najwygodniej u-

trzym dom murywany, z attyką, ozdobiony gzymsami, fryzami (...) Na posesji tej mieściła się fabryka wyrobów wełnianych (...)”

Dwupiętrowy dom frontowy przebudował w 1888 r. Ludwik Meyer na hotel (według planu architekta Majewskiego) i wydzierżawił poddanemu austriackiemu, Piotrowi Schwarzwizowi. Było tam wówczas 45 pokoi numerowanych, w cenie od 1 rubla do 3 rubli 50 kopiejek”.

„ULICA PIOTRKOWSKA”, STR. 180

„W 1896 roku hotel posiadał salę restauracyjną, balową i 70 numerów. Na parterze mieścił się skład towarów Meyera. W 1904 roku Meyer sprzedał hotel Towarzystwu Akcyjnemu Grand Hotel za 475.000 rubli (...) Konsorcjum fabrykantów i kupców, które kupiło w 1911 r. akcje hotelu, wybudowało czteropiętrowy hotel i klasy według projektu Dawida Landego. Budowę ukończono w 1913 r. (...) W nowym Grand Hotelu znajdowała się elegancka restauracja (...), 150 pokoi z ciepłą wodą i telefonami. Zaprowadzono kanalizację, wodociąg, filtry biologiczne, oświetlenie elektryczne i gazowe (...), siedem wind (...)”.

RED. A. M.

„(Wilmański) cytuje mi pomieszczenia w przewodniku „Łódź” (Warszawa 1909) wypowiedzi Francuza De Verdmont-Jacquesa; „Do najwygodniej u-

rzędzonych należy Grand Hotel, ale obsługę posiada nie dość uprzejmą i przeważnie tylko niemieckim władającym”

„ULICA PIOTRKOWSKA”, STR. 181

„De Verdmont-Jacques pisał w 1909 r., że w Łodzi „do najwygodniej urządzonych należy Grand Hotel, ale obsługę posiada nie dość uprzejmą i przeważnie tylko niemieckim władającym”. Na str. 149 u dołu przypis: L. W. J. (De Verdmont-Jacques), „Łódź”, Warszawa 1909.”

RED. A. M.

„Ten Wilmański zaczął mnie drażnić. Niby wszystkie rozumy pojął. Wali bezczelnie z pamięci podaną (!) marca 1888 roku przez „Dziennik Łódzki” listę grandhotelowych gości: pan Zimmerman z Budapesztu, pan Mengubi z Moskwy, pan Hahn z Chemnitz, pan Lipschultz z Rygi”.

„ULICA PIOTRKOWSKA”, STR. 179

„Zatrzymywali się tu bogaci goście (...). „Dziennik Łódzki” podał 2 marca 1888 r. następującą listę przyjeżdżających gości (...): Grand Hotel — Zimmerman z Budapesztu, Mengubi z Moskwy, Hahn z Chemnitz, Lipschultz z Rygi”.

Znam skądinąd red. Wilmańskiego jako uczelony i rzetelny dziennikarz. Nie wydaje mi się możliwe, by cytował informacje, zawarte w mojej

książce, a zdobyte z unikalnych dokumentów, m. in. tłumaczonych z obcych języków, podając je za swoje własne. Obawiam się, że raczej red. Makowiecki z całkowitą niefrasobliwością potraktował źródło informacji, jakie podsunął mu red. Wilmański, czyniąc tym krzywdę zarówno swemu koledze jak i mnie. Jest rzeczą oczywistą, że książka, po ukazaniu się na półkach księgarskich, staje się publiczną własnością. Zwykle jednak uczciwość, która powinna obowiązywać również dziennikarza, zwać najbardziej błyskotliwie władającego piórem, nakazuje cytowanie źródła, z którego czerpie się całe fragmenty.

Doc. dr ANNA RYŃKOWSKA

* * *

ZNAK ZAKAZU

Od pewnego czasu ustawiono przy ulicy Podrzecznej na wysokości południowej, otwartej, niezabudowanej strony rynku Starożytnego Miasta znak zakazu, ograniczający wjazd tam pojazdów mechanicznych o wadze powyżej dwóch i pół tony. Ten odłonek ulicy Podrzecznej, między Złotą a Wołborską na zasadnicze znaczenie dla właściwego zaprezentowania i popularyzowania historii Łodzi u jej propegozów. Do chwili u niemożliwienia wjazdu tam autokarom wycieczkowym (których tonaż jest wyższy od podanego na w znak zakazu) wszystkie wycieczki po Łodzi właśnie tam się rozpoczynały. Jest to bowiem jedyne, naj-

odpowiedniejsze do rozpoczęcia ekskursji po Łodzi miejsce. Tutaj przewodnicy PTT-K wprowadzali wycieczkowiczów w historię powstania Łodzi, nadania praw miejskich, jej początkowego układu zabudowy, ze wschodu na zachód — tak jak biegnie koryto Łódki. Informowali również między innymi o historii Starożytnego Miasta, o zabudowie jego rynku, o rewolucyjnych tradycjach łódzkiej klasy robotniczej, wskazując na pomnik Juliana Marchlewskiego oraz na widoczne ZPB im. Juliana Marchlewskiego, gdzie pracował i organizował Związek Robotników Polskich oraz inspirował wielką manifestację, którą był potrzebny strajk, a który został zapisany w kronikach jako „Bunt łódzki”.

Było to najdogodniejsze i najważniejsze miejsce dla scharakteryzowania wycieczkowiczom jak najlepiej wielu ważnych wydarzeń w historii i losach naszego miasta.

Ustawiony znak zakazu uniemożliwia to obecnie przewodnikom PTT-K. Uniemożliwia jak najcenniejsze wyeksponowanie zarówno historii jak i osiągnięć Łodzi.

Już niedługo znacznie ożywi się ruch krajoznawczy. Należy więc pomagać właśnie tym, którzy są powołani i sami jak najlepiej chcą zaprezentować zarówno mieszkańcom Łodzi, turystom, krajoznawcom i wycieczkowiczom swoje miasto.

JERZY KLAMANN
(Przewodnik PTT-K)

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Jednocześnie odbyły się wściekłe ataki na kulturowe i polityczne instytucje ludu.

Mimo wszystkich swoich słabości Republika Weimarska głosiła mocne hasło, uznawane przez najwybitniejszych pisarzy i artystów wszelkiego rodzaju: Sztuka — ludowi. Niemieccy robotnicy, których zainteresowanie sztuką i literaturą było rzeczywiście bardzo duże, stanowili szczególnie ważną część ogółu publiczności, czytelników i widzów teatralnych.

Cierpienia zadane im w katastrofalnym kryzysie gospodarczym, coraz bardziej zagrożającym ich standardowy kulturalny i artystyczny poziom oraz wzrastającą siłą starych militarystyczno-feudalnych szumowin — zaalarmowały nas.

Zacząłem pisać wiersze, pieśni i sztuki odzwierciedlające, co czuł lud i atakujące jego wrogów, którzy już otwarcie maszerowali pod swastyką Adolfa Hitlera.

Z początku tylko nieliczni ludzie byli w stanie rozpoznać związek zachodzący między re-

Badzleki. Nasz statek ładował kopre na Manili. Kilka miesięcy później sprzymierzeńcy Hitlera napadli na tę wyspę.

Przypuszczam, że niektóre z moich sztuk i wierszy, napisane w czasie walki przeciwko Hitlerowi, skłoniły komisję Kongresu do sprowadzenia mnie tutaj.

Moja działalność, nawet ta przeciwko Hitlerowi, była zawsze czysto literacka i od nikogo zależna. Jako gość Stanów Zjednoczonych nie dotykałem spraw tego kraju, również nie pod względem literackim. Nawiasem mówiąc, nie pisuję dla filmu. Nie uświadamiam sobie, że mogłem wywierać jakikolwiek wpływ na przemysł filmowy, ani polityczny, ani artystyczny.

Wzywano do stawienia się przed kongresową komisją do walki przeciw działalności antyamerykańskiej, czuję jednak po raz pierwszy potrzebę wypowiedzenia kilku słów w sprawach amerykańskich. Patrząc wstecz na dwa ostatnie dziesięciolecia moich doświadczeń w Europie jako autora sztuk i poety, pragnę powiedzieć, że wielki naród amerykański dużo by stracił i dużo ryzykowałby, pozwalając

(Dalszy ciąg ze str. 1)

ki na mielizny myłac kapitanów swatami na brzegu. Jak więc takich idiotyków trzymać w raju? Onożil więc rtoir po raju i meytował: jak pozbyc się spryncy braci? Znalazi się wreszcie taki jeden, co obiecał Piotrowi, że wyprwadzi braci z raju. On właśnie krzyknął braciom: Port Północny budują! Bracia poderwali się i wybiegli za bramy raju, i co pan pwie? Dżis powiadają, że całą słodemką pracują przy budowie portu. Jak dostaną wypłatę, a ludzie tu dobrze zarabiają, to razem idą na wodkę i dziewczynki, bo nie chcą wracać do raju. Za nudno i do morza daleko a tu ruch, robota i plaćca dobrze.

Tak oto zetknąłem się z Portem Północnym — najpoważniejszą inwestycją tego typu na Bałtyku. Port będzie mógł przyjmować największe statki, jakie mogą wpłynąć na Bałtyk. Nasze morze było ponoć bardzo głębokie, ale jak głosi stara, fryzyjska legenda zapędził się na nie statek — olbrzym zwany „Mannigfual” i... utknął na mieliznie. Kapitan legendarnego statku, który ze względu na wielkość okrętu musiał doglądać pracy marynarzy konno, rozkazał wyrzucić za burtę cały balast. W ten sposób powstały wyspy: Bornholm i Christians. Resztę balastu uniosły prądy morskie i zamuliły Bałtyk a najbardziej cieśniny duńskie.

Bałtyk, którego brzegi stanowią granice siedmiu państw jest więc morzem płytkim, położonym z dala od światowych szlaków komunikacyjnych, ale mimo to odgrywa ważną rolę w życiu gospodarczym tego rejonu Europy. Transport morski jest bowiem 5-6 razy tańszy od kolei.

Inżynier Janusz Gromek — szef działu dokumentacji w dyrekcji budowy Portu Północnego, z którym rozmawiam o tych sprawach mówi:

— W roku 1969 przetransportowano morzem około miliarda ton ropy naftowej i jej przetworów. Transport ropy z Zatoki Perskiej statkiem o wyporności 100 tys. ton pozwala na oszczędzenie 1,5 dolara, a przewóz tony węgla statkiem o dużej wyporności na trasie Gdańsk — Japonia obniża koszty przewozu o 2,5 dolara. Oplaca się eksploatacja dużych jednostek morskich. Armatorzy zamawiają więc w stoczniach coraz to większe statki a od kapitanów zaczęła niedługo wymagać składania ślubowania jakie złożył kiedyś morzu fryzyjski kupiec... — Ślubowanie?



— „Ślubuję ci morze so-lennie, że jeżeli zechcesz chronić mnie, statek i ładunek przed niebezpieczeństwami, pozostanę ci wierny do końca moich dni i nigdy nie zaprzęgnę pobytu na lądzie dłuższego, niż będą tego wymagały moje sprawy handlowe” — zacytował fragment legendy inżynier i dodał: — Ten legendarny kupiec wzbogacił się dzięki temu, że skracał pobyt swego statku w portach. Największe koszty i dziś ponosi armator tego statku, który przedłuża swój pobyt w porcie. Dlatego też dążymy do maksymalnego skrócenia czasu załadunków i wyładunków jednostek, które będą wpływać do Portu Północnego.

A więc najnowsza technika w obsłudze statystycznych?

— Tak. Każdy, nawet największy statek będziemy mogli załadować lub rozładować w czasie jednej doby dzięki technice. Wzdłuż falochronu głównego zostanie wybudowana estakada z rurociągami. Rozładunek i załadunek paliw płynnych będzie się odbywał w odległości 2,5 km od brzegu a produkty naftowe będą wytwarzane w portowej rafinerii. W ten sposób zaoszczędzimy na kosztach transportu płynnego surowca do zakładów przetwórczych w głębi kraju.

Blżej brzegu zlokalizowano basen węglowy. Załadunek statków będzie uniezależniony od rytmiczności dostaw PKP dzięki olbrzymim składowiskom zdolnym pomieścić na 19 metrowych przyczółkach 400 tys. ton węgla. System taśmociągów umożliwi szybki załadunek statku przycumowanego daleko od lądu przy pirsie. Port będzie wyposażony we własną stację rozrządową pociągów z odpowiednią siecią torów manewrowych i urządzeniami do rozrządzenia wagonów i wyrotnicami. Za trzy lata będziemy mogli przeladowywać tu 6 milionów ton paliw płynnych i 5 milionów ton węgla, to jest blisko trzecią część tego co obecnie przeladowywują nasze porty. Przy dalszej rozbudowie portu można będzie osiągnąć zdolności przeladunkowe rzędu 76 milionów ton czyli o 16 milionów więcej niż przeladowywuje się w porcie londyńskim, prawie dwukrotnie więcej niż w Hamburgu, ponad trzy razy więcej niż w Goeteborgu, 7 razy więcej niż w Kopenhadze...

Inżynier Gromek z pamięci recytuje dane a objaśniając plan budowanego portu nawet nie zerka na mapę. A ta mapa jest przecież wynikiem długiej i żmudnej pracy wielu specjalistów z różnych dziedzin. Trzeba było najpierw zbadać rozmieszczenie prądów morskich i ich siłę unoszenia zwaną fachowo rumowiskiem, poznać dynamikę fali przybojowej, warunki geologiczne i wiele innych czynników. Te wszystkie prace wykonali nasi fachowcy — absolwenci rodzimych szkół.

Kiedy w roku 1918 przypadł nam w udziale niewielki skrawek wybrzeża Bałtyku nie mieliśmy ani portu, ani statków, ani stoczni ani... fachowców.

Mój Kaszub z holownika na pewno pamięta, w jakich warunkach przystępowano do realizacji projektu budowy portu gdyńskiego. Jesteśmy jednak zdolnym narodem, dzięki czemu już w 1923 roku zawinął do Gdyni pierwszy statek.

Dziś nasze porty przeladowywują blisko 40 milionów ton towarów a 46 techników i szkół zawodowych, 4 wyższe uczelnie z kierunkami specjalistycznymi i 2 ośrodki naukowe kształcą fachowców i pracują nad rozwojem naszej gospodarki morskiej. Jesteśmy państwem morskim. W statystykach Lloyd's Register of Shipping przekroczyliśmy już dawno magiczną wielkość 1 miliona BRT naszej floty handlowej i zbliżyliśmy się do 2 milionów BRT zajmując licząc się w świecie 18 miejsce wśród państw t.zw. wielkich bander.

Wieje wiatr północny, którego tak nie lubią marynarze, rybacy i budowniczowie Portu Północnego. Jak ten wiatr wieje Bałtyk wzbiera i groźnie faluje. Stoję na wydmie i otulając się płaszczem spoglądam ku majaczącym we mgle potężnym sylwetom frachtowców, kotwiczących na redzie portu gdyńskiego. Znacznie bliżej, u nasady Westerplatte fale biją wściekle o wałki, wybudowany przez człowieka pas lądu. Krzepki jest ten prawie 3 kilometrowy falochron, który będzie chronił akweny nowego portu i statki, które tu zawiną. Budowniczowie nie mają łatwego zadania. Z 79 ha lądu przeznaczono pod budowę urządzeń portowych 42 ha trzeba zabrać morzu. Najpierw brygada Waleriana Gajewskiego bila w gliniaste dno 25 metrowe pale ze stali. Później przystępowali do pracy inni — brygada betoniarzka Józefa Jedynaka, cieśle Maksymiliana Jabłońskiego ludzie na refuterach wydobywających piach z dna zatoki i dziesiątki prawdziwych wygów w swoim fachu, będącymi najlepszymi z najlepszych.

Na wodzie praca jest taka sama jak na lądzie z tym, że dodatkowe utrudnienie stanowi tu woda i wiatr. Wielu pracuje tu zerkając od czasu do czasu na tańczące po fali kolo ratunkowe wyrzucone za burtę. To dla bezpieczeństwa, bo wystarczy chwila nieuwagi, aby stracić głowę i chlupnąć w spienioną wodę. Ilu dobrych fachowców właśnie dlatego nie zgłosiło się tu do pracy?

— Dziś nie wieje tak bardzo. Można podgonić robotę — mówi cieśla Stanisław Chutko zacierając zgrabiale ręce. Lodowaty wiatr wnika w każdą szparę w ubraniu a nie ma gdzie się schronić.

Patrzę z podziwem na pracę tych ludzi, dzięki którym otwiera się nowa szeroka droga morska w świat. Twardzi to ludzie zdający sobie sprawę z tego, co daje morze.

— Z wody idzie bogactwo i tylko je brać — dźwięczą mi słowa starego Kaszuba z holownika. Bierzemy więc.

Wracając do Gdańska musiałem omijać rozległą, enklawę starego portu gdań-

skiego. W Basenie Westerplatte stały statki różnych bander a stalowe krany wolno zakreślały łuki na tle zamglonego nieba. Na pokładach krzątali się ludzie dozorujący załadunku.

Gdzieś daleko dudniły głucho maszyny holownika i porykiwała syrena ocenicznego kolosa. W przerwach słyszało się skrzywienie dźwigów i plusk martwej fali uderzającej o stalowe burty przycumowanych statków. Port Północny nie będzie miał tradycyjnych nadbrzeży i ta budowa kładzie kres całej romantycznej pejzażu, który oglądam. Czy jednak?

Wieczorem, czekając na pociąg spaceruję po mieście. Wstępuję do kawiarni. Siedząc na wysokim stołku przy barze i sącząc swoją kawę rozglądam się po sali. Nieopodal przy stołku tegi, niemłody już człowiek ubrany w ciemny garnitur uwoździ gestykulując młodą dziewczynę. Oboje prowadzą dialog w języku angielskim i od czasu do czasu udaje mi się wyłowić z kawiarnianego gwaru urywki prymitywnych zdań i pojedyncze słowa. Dziewczyna uśmiecha się do swojego, dużo starszego partnera i otaczając się kłębami wonnego, papierosowego dymu pyta o fundusze na rozryw-kę.

— Oo! Pieniądze są... Bardzo dużo pieniędzy — odpowiada z entuzjazmem mężczyzna sięgając po portfel grubym łapskiem o popękanej skórze ze śladami smarów wokół paznoci. Plik banknotów jest wystarczająco przekonywającym argumentem i oboje podnoszą się z foteli udając się na poszukiwanie rozryw-ki.

W czasie kiedy międzynarodowa para ubiera się w szatni w swoją stronę nachyla się mój przy barze i bełkotliwie zagaduje:

— Ladna była, ale wełbie przewrócone przez te dolary. Teraz to one wszystkie takie te... miewki. Na pięćsetkę nawet nie spojrzysz... Jak ma dolary to każdy dobry... A ja co! — oburzył się po pijacku. — Gorszy? Fachowiec jestem nie jakiś tam smoluch. Mój ojciec Gdynię budował. Gdańsk wyzwał a teraz ja buduję Port Północny... Pan słyszał co to Port Północny? To jest robota! — stwierdził i nie czekając na odpowiedź zamówił jeszcze jedną setkę. Wypił. Zapłacił wysupłując długo z pliku pięćsetek odpowiedni banknot i lekko chwiejnym krokiem opuścił swoje miejsce przy barze zafascynowany kolejną dziewczyną.

Nie minął więc jeszcze romantyzm miasta portowego. Tylko czy marynarze ze stutysięczników będą mieli czas zejść na ląd? Z tym będzie chyba gorzej bo Port Północny będzie pracował szybko.

MACIEJ ZDIENICKI

BERTOLT BRECHT

Każda nowa idea

akcyjnym ograniczeniom w dziedzinie kultury a ostatecznym zamachem na samo życie ludu. Zmagania demokratycznych, antymilitarystycznych sił okazały się zbyt słabymi.

W lutym 1933, dzień po pożarze Reichstagu, musiałem opuścić Niemcy. Zaczął się exodus pisarzy i artystów, jakiegoś świat jeszcze nie widział. Osiedliłem się w Danii, a cała moja literacka praca, sztuki i wiersze, była oddaną poświęconą walce przeciwko nazizmowi.

Kilka moich wierszy przemyciono do Trzeciej Rzeszy. Duńscy nazisci, wspierani przez ambasadę Hitlera, rychło zaczęli żądać mojej deportacji. Rząd duński odmówił. Ale w 1933 roku, kiedy oczekiwano, że nastąpi wojna, udałem się z rodziną do Szwecji. Mogłem tam zostać tylko przez jeden rok. Hitler wkroczył do Danii i Norwegii.

Kontynuowaliśmy naszą ucieczkę na północ i dostaliśmy się do Finlandii. Wojska hitlerowskie podążały. Finlandia pełna już była hitlerowskich dywizji, kiedy w 1941 roku wyjechaliśmy do Ameryki. W sberyjskim ekspresie wożącym niemieckich, austriackich, czeskich uciekinierów, przebyliśmy ZSRR. Po dziesięciu dniach od czasu, w którym opuściliśmy Władystok, Hitler napadł na Związek

komukolwiek na ograniczenie wolnego współzawodnictwa w dziedzinie kultury lub na wystąpienie przeciwko sztuce, która musi być wolna, by móc być sztuką.

Zyjemy w niebezpiecznym świecie. Stan naszej cywilizacji jest taki, że ludzkość mogłaby już posiadać wszystkie środki by stać się bogata, jednak jako całość ciągle jeszcze spętana jest ubóstwem. Ucierpiano męki wielkich wojen, a słychać, że nadejdą jeszcze większe. Jedną może zgładzić cała ludzkość. Możliwe, że jesteśmy ostatnim pokoleniem gatunku ludzkiego na tej ziemi. Idee, jak wykorzystywać nowe możliwości produkcji, nie rozwinięte od czasów, kiedy koń musiał robić, co człowiek nie potrafił. Nie uważacie, że w tak przykrym położeniu każda nowa idea powinna być starannie i w warunkach wolności zbadana? Sztuka potrafi takie idee uczynić jaśniejszymi i nawet szlachetniejszymi.

Opracował: L. B.

* Komisja pod wodzą ultrareakcyjnego senatora McCarthy'ego ze szczególną wściekłością przeladowała postępowych filmowców.

To godło nie przypadło jednak najprawdopodobniej miejscowym rajcom do gustu, gdyż zrezygnowano z jego używania i zastąpiono je herbem z dwoma okazalymi i grzywiastymi łwami wspinającymi się na pień drzewa. Taki herb znajduje się do dziś na budynku dawnego ratusza, wzniesionego w pierwszej połowie XIX wieku w stylu klasycystycznym, obecnie siedziby Prez. MRN w Kutnie. Także taki pamiętają najstarsi kutnowianie.

Lwy w godle miejskim Kutna odnajdujemy w wydanej kilka lat temu Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN. Natomiast Marian Gumowski w pracy pt. „Herby miast polskich” (Warszawa 1960) pisze, że „obecnie za właściwy uważamy herb najstarszy (i), przedstawiający dwa dziki — przyp. H. Sz.), jako będący najdłużej w użyciu”. Podobnego zdania był autorzy dzieła pt. „Miasta polskie w Tyśiącleciu” (tom II, Wrocław — Warszawa — Kraków 1967), w którym to wydawnictwie jako herb Kutna zamieszczono wizerunek dzików.

Tak więc Kutno na przestrzeni swych dziejów miało aż cztery herby, przy czym dwa z nich — jak o tym wspomniano — w różnych wydawnictwach ostatnich lat podawane są jako aktualnie używane. Jakkolwiek używanie każdego z obu herbów miejskich Kutna jest w pewien sposób uzasadnione, to jednak trzeba będzie z jednego z nich ostatecznie zrezygnować i ustalić, który z nich jest obowiązujący.

HENRYK SZUBERT



LWY KONTRA DZIKI

Kutno — miasto powiatowe w województwie łódzkim, obecnie ważny węzeł kolejowy — pobilo chyba swoisty rekord krajowy, jeżeli chodzi o ilość herbów miejskich posiadanych przez poszczególne miasta polskie w swych dziejach. Miało ich Kutno aż czterech.

Na najstarszej pieczęci miasta pochodzącej z XV stulecia, widnieją dwa dziki wspinające się

na drzewo. Później miejsce jednego z nich zajął lew. W ten sposób powstał drugi herb Kutna. Po wielkim pożarze, który w 1733 roku zniszczył prawie całkowicie miasto i zamknął pierwszy okres jego dziejów, nastąpiła dalsza zmiana herbu. Mianowicie w 1766 roku król Stanisław August Poniatowski, oddając Kutno nowym przywilejem lokacyjnym, nadał miastu herb z postacią św. Wawrzyńca.



AWANS

Z prozy Edwarda Redlińskiego od dawna już wycierał satyrę. Zarówno w „Zgrzytach”, jak i w zbiorze „Ja w nerwowej sprawie”, a już szczególnie w drukowanej w „Twórczości” powieści „Konoplekka” — elementy satyry i groteski coraz bardziej dochodzą do głosu.

Nie zdziwiło więc zwolenników pisarstwa Redlińskiego, że swoją najnowszą powieść wydał w „Czytelniku”. Biblioteczka Satyry. „Awans” jest właśnie opowieścią satyryczno-groteskową, w której autor popuścił wodze satyrycznym inklinacjom. Wykorzystuje Redliński w „Awansie” komiczne efekty przyspieszonego filmu, przeobrażeń zapadłej wioski w nowoczesne wczasowisko i następnie... również gwałtowny powrót do prymitywu. Tyle, że ów pierwotny niejako prymityw był naturalny, ów wtórny prymityw natomiast jest wynikiem swolostego zapotrzebowania społecznego. Po prostu turyści pragną odпочыwać właśnie w wiosce „zabitę deskami”, otoczeni folklorem i prymitywem.

Sytuacja oczywiście wymyślona, ale przecież jest w niej — jak mawiał Ościp Bender — sieraśniana prawda. Na tej kanwie tworzy Redliński scenki przepyszne, ma się wrażenie, że sam autor bawi się ową groteskową sytuacją razem ze swymi bohaterami.

Edward Redliński „Awans”, Czytelnik, cena 15 zł.

SŁOWNIK PISARZY

Zasłużona „Wiedza Powszechna” wydała właśnie kolejny tom popularnej i niezwykle cennej serii „Małych słowników”. Tym razem jest to „Słownik pisarzy niemieckich, austriackich i szwajcarskich” czyli pisarzy niemieckiego obszaru językowego. Tom zawiera ponad pół tysiąca haseł, poświęconych zarówno najbardziej reprezentatywnym pisarzom tego kręgu, jak i wybitnym dziełom anonimowym. Publikacja ta informuje o podstawowych danych biograficznych i bibliograficznych poszczególnych pisarzy, a także w sposób syntetyczny ujmuje ich twórczość.

Podobnie jak w wypadku wszystkich tego typu publikacji, fachowcy i specjaliści przedmiotu wysuną szereg zarzutów. Kogoś pewno pominięto, kto na to nie zasłużył; kogoś uhonorowano nad miarę. Zawsze tak jest ze wszystkimi antologiami i leksykonami — i nie ma na to rady. Faktem jest jednak, że serie „Małych słowników” Wiedzy Powszechnej niosą ogromny ładunek informacji, są podstawowym źródłem wiedzy o sprawach i ludziach.

Jeśli mam pretensję — to jedną i drobną. Oto przy niektórych wybitniejszych pisarzach podano nazwiska polskich tłumaczy (np. Hauptmann — J. Kasprzowicz, M. Kopnińska i L. Staff). Brak natomiast w „Słowniku” nazwisk pisarzy — tłumaczy niemieckich, którzy literaturę polską udostępniają czytelnikowi niemieckiemu. Nie ma więc w „Słowniku” ani Dedeclusa, ani Buddensiega — pisarzy przecież, tak jak autentycznym pisarzem jest choćby Bronisław Zieliński, piszący po polsku powieści Hemingwaya, czy Jerzy Lisowski, piszący po polsku wiersze Francuzów.

Chyba, że Wiedza Powszechna wyda „Słownik tłumaczy z języka polskiego”. Nie jest to wcale taki obłądny pomysł, byłby to bowiem leksykon prawdziwych ambasadorów polskiej literatury poza granicami kraju.

Mały słownik pisarzy niemieckich, austriackich i szwajcarskich, Wiedza Powszechna, cena 30 zł.

JÓZEF WYBICKI

Jest to jeszcze jedno przypomnienie poety z zamierzonej historii — przypomnienie nazwiska jakoś przecieź obecnego w świadomości Polaków. Obecność ta jednakże jest dość specyficzna. Józef Wybicki napisał przecieź słowa „Pieśni legionów polskich we Włoszech”, a więc jest autorem polskiego hymnu. O takiej obecności marzy zapewne każdy poeta, ale jest to przecieź, mimo wszystko, poeta zapomniany. Nawet obiegowa nazwa hymnu narodowego brzmi „Mazurek Dąbrowskiego”. Któż pamięta o Wybickim słysząc dźwięki mazurka?

Pięknie więc, że przypomniano (o ironio, w nakładzie 2 tys. egzemplarzy) twórczość Józefa Wybickiego. Bo przecieź oprócz słynnej „Pieśni” Wybicki wiele napisał. Był także współautorem kodeksu praw, odrzuconego potem przez Sejm Czteroletni. Napisał też parę komedii, był wybitnym publicystą politycznym swego czasu, zasłużył się jako działacz Komisji Edukacji, był posłem na Sejm Wielki i komisarzem powstańczym przy Henryku Dąbrowskim...

Któż o tym pamięta? Tylko słowa pieśni napisanej w Reggio — pieśni, która po latach stała się hymnem narodowym, zapewniły mu stałe, choć niewielkie miejsce w historii polskiej literatury. Jako polityk spełniał raczej funkcje tzw. drugiego garnituru — jako pisarz też nie grał pierwszych skrzypiec... Ale los, przypadek, historia — obdarzyły go najwyższym zaszczytem: jego wiersz stał się samorzutnie, nie z nominacji, pieśnią paru pokoleń polskich.

Pięknie wydana książka, przypominająca wiersze i pieśni Józefa Wybickiego, powinna więc stać na tysiącach półek bibliotecznych. Ten zapomniany poeta zasługuje na to.

J. WIL.

Józef Wybicki „Wiersze i ariełki”. Wyd. Morskie, cena 55 zł.

Warto przeczytać

- Jerzy Rzymowski „Erynie historii i człowieka”, Wyd. Łódzkie, 1973.
- Zygmunt Szweykowski „Trylogia Sienkiewicza”, Wyd. Poznańskie, 1973.
- Zbigniew Nienacki „Pan Samochodzik i Fantomas”, Wyd. Łódzkie, 1973.
- Jerzy Szaniawski „Dramaty wybrane”, Wyd. Literackie, 1973.
- Andre Gide „Lochy Watykańu”, Wyd. Literackie, 1973.
- Anna Kłodzińska „Wrak”, Czytelnik, 1973.
- Mirosław Żulawski „Pisane noce”, Czytelnik, 1973.
- Janina Rosowska „Dzieje poety”, Ludowa Sp-łna Wydawnicza, 1973.

MOJA „DĄBROWA”

Jako „moja” może brzmieć w tym tytule dopiero od lat niespełna pięćdziesiąt. Czas jako względny, nie będzie tu dobrą miarą dla okresu mojego zamieszkania na Dąbrowie. Dla mnie jednak jest to dużo, bardzo dużo. Bowiem te pięć lat, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, mierzyłam ilością wybudowanych nowych budynków, bloków i wieżowców.

Osiedle wokół mnie zmieniło się szybko i radykalnie. Wielką ochotę miałam, aby nie raz powtórzyć za Byronem i M. Dąbrowską:

„Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia”.

Mam bowiem jeszcze w pamięci mój pierwszy przyjazd na Dąbrowę, kilka miesięcy przed zamieszkaniem na stałe. Blok

stał duży i pusty. Pomalowany był na ciemnoniebieski kolor. Puste ramy okien i ten wstrętny kolor!

Zachwycona nie byłam. Dalej zobaczyłam nowy, nie wykonany jeszcze wieżowiec. Na wysokość piątego piętra zwieszało się smętnie i beczynnym ramieniem olbrzymiego, żółtego dźwigu. Stał tam taki nieużyteczny i, wydawało się, nieporadny. Ale było chyba w tym coś romantycznego, tajemniczego.

Wystarczyło jednak spojrzeć na drugą stronę ulicy, gdzie w wykończonych już domach jaśniały żółtawe okna. I znowu zmiana nastroju. Popatrzyłam jeszcze raz na „moją” smutną Dąbrowę, ale już z odrobiną optymizmu.

Szary wieżowiec nabrał nagłe

kolorów. Czy dało mu je moje własne marzenie o Dąbrowie kolorowej? Były to refleksy promieni zachodzącego słońca?

Jednak moje marzenia o Dąbrowie wesołej, jasnej barwnej spełniało się. Mogłam na to patrzeć własnymi oczyma. Widziałam wiosenną, nieśmiałą zielen trawników, letnią natrętność barw, jesiennie bogactwo brązu, purpury, złota i zimowa skrzekanie się diamentowym blaskiem maleńkich gwiazdek śniegu. Wszystkie te cudowne „romantyczności” w oprawie nowoczesnego osiedla nabierały nowego, przedziwnie świeżego i niepowtarzalnego uroku, który działa ciągle. Można się nim zachwycać zawsze i nieustannie.

Jednocześnie w owych cudownościach odegrały dużą rolę maleńkie, przycupnięte cicho domki. Kontrastujące z nowoczesnym osiedlem, ale kontrast ten nie jest śmieszny. Te małe domeczki, w otoczeniu drzew, dodają Dąbrowie odrobinę swojskiego liryzmu — delikatnego i ulotnego, przemijającego i gładącego. Niedługo już chyba będą jeszcze stały te domeczki, a szkoda.

Dąbrowa staje się coraz większa i coraz piękniejsza. Wiem, że kilka lat temu na obszarze dzisiejszej Dąbrowy pochylały

się w rytm uderzeń wiatru sztywne lany zboża i zielone łąki. Czy żałować, że na ich miejscu wyrosły betonowe olbrzymy? Nie! Bo każdy dom tętni życiem swoich mieszkańców. A więc obszar osiedla, to obszar z całą energią pulsujący życiem.

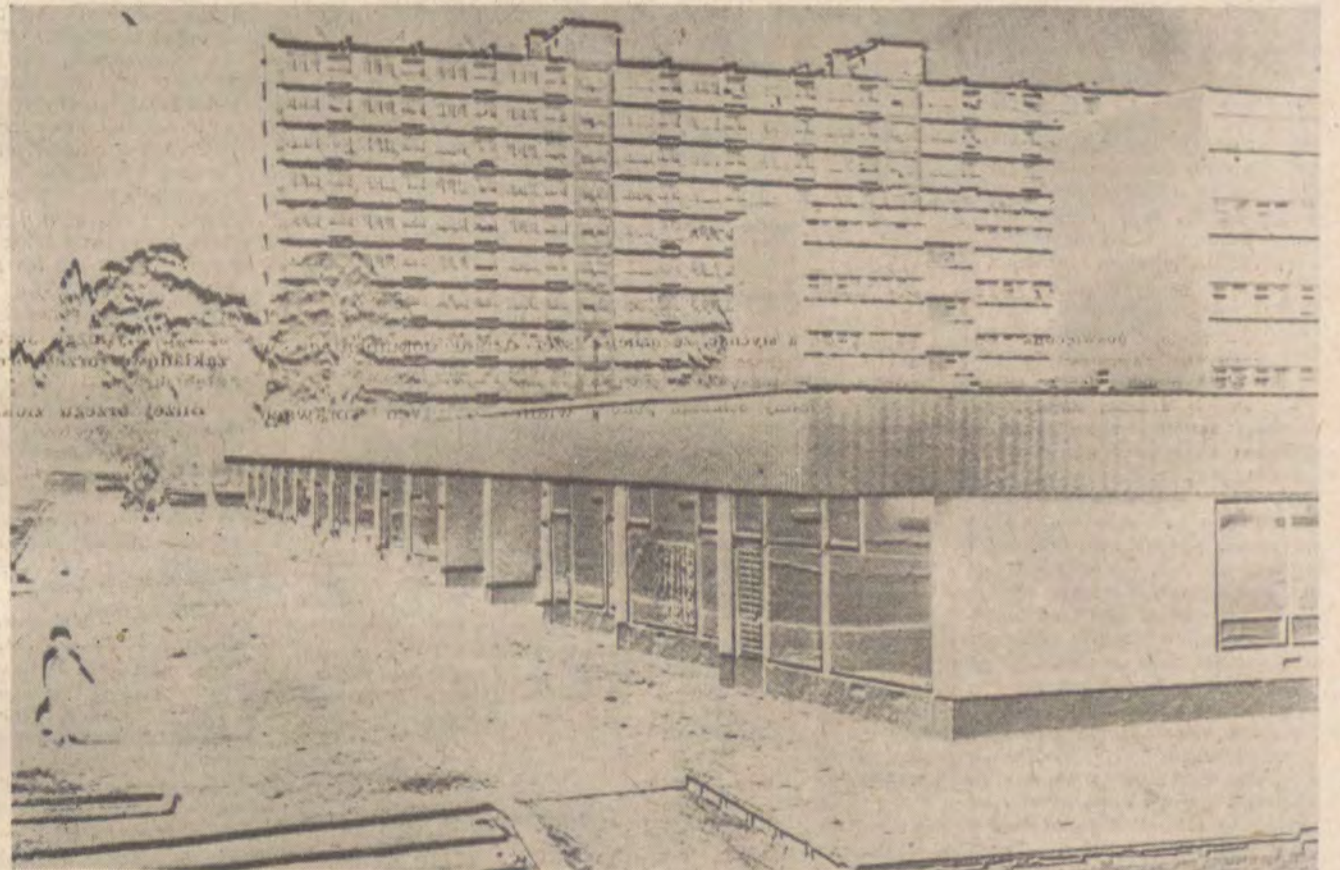
Teraz Dąbrowa, to małe samodzielne miasto. Posiada kilka świetnie wyposażonych bibliotek. Wiele punktów usługowych i sklepów zaopatruje mieszkańców osiedla w artykuły pierwszej potrzeby. Założono przychodnię zdrowia, a liczne (stosunkowo nie bardzo od siebie oddalone) apteki pozwalają na szybki zakup lekarstw. Posiada też Dąbrowa własny urząd pocztowy, czynny przez całą dobę. Moja szkoła mieści się w nowym, jasnym i wesołym budynku. Działa w niej klub „Pod Sową”, powstały przy współudziale Zarządu RSM „Bawelna”. Zrzesza on nie tylko uczniów naszej szkoły, ale i młodzież całego osiedla.

Kluby cieszą się więc dużym powodzeniem.

Jest więc Dąbrowa w pełni znaczenia tego słowa „samodzielnym miasteczkiem”, choć sprawna komunikacja ułatwia i gwarantuje szybką i dogodną łączność z resztą olbrzymiej Łodzi.

Z tym osiedlem związała się część mojego życia. Tu je spędzam, tu chodzę do szkoły i tu znalazłam przyjaciół.

MAGDALENA CZĄSTKA
ucz. kl. VIIIa
Szkoły Podstawowej nr 187



Fot. E. Kudaj



SPOD LADY

KSIĄŻKA

Namiętni „oglądacze” telewizyjnych seriali, a między innymi „Sagi rodu Forsytów”, do próżno biegali po księgarniach w poszukiwaniu literackiego pierwowzoru adaptacji telewizyjnej. Trzeba zatem pochwalić PIW, że okazał się „mądry przed szkoda”, i niemal równocześnie z finałem telewizyjnego „Chłopów”, zdołał zgnać wydanie oryginalnego dzieła Władysława St. Reymonta, dając w ten sposób tak pożądaną okazję do porównań i konfrontacji. „Chłopi” ukazał się w wydaniu, bo 50-tysięcznym nakładzie w masowej, międzywydawniczej Bibliotece Klasyki Polskiej i Obce), zawierającej kanon najcenniejszych dzieł literackich. Wielu odbiorców, zarówno tych młodych, wchodzących dopiero w świat podsta-

wowych dla rozwoju kulturalnego i intelektualnego arcydzieł literatury, jak i czytelników do tego złotego skarba wracających, kompletuje serię, warto więc może poinformować, że w roku bieżącym ukaże się w niej 27 nowych tytułów, w tym „Utworki wybrane” K. K. Baczyńskiego, „Hrabina Cosel” J. I. Kraszewskiego, „Pisma wierszem i prozą” C. Norwida, „Listy do Marysieńki” J. Sobieskiego, „Dramaty wybrane” J. Szaniawskiego.

Czy na szerokim tle dzieł literatury europejskiej państwa polskiego i kultura polska, gospodarstwo i społeczeństwo Polaków ujawniły własne, oryginalne cechy? Na pytanie to starają się odpowiedzieć autorzy kolejnego tomu „Konfrontacji Historycznych”, noszącego tytuł „Polska

dzielnicowa i zjednoczona” i wydanej pod red. prof. A. Gieysztorą przez „Wiedzę Powszechną”. Warto zainteresować się tą książką i być może poszukać poprzednich tomów serii („Polska pierwszych Piastów”, „Polska XVII wieku”, „Polska w epoce Odrodzenia”, „Polska w epoce Oświecenia”), bowiem autorzy, nie unikając spraw dyskusyjnych i kontrowersyjnych, konfrontując różne poglądy na te same problemy, starają się w możliwie wszechstronny sposób pokazać miejsce i pozycję Polski w świecie w różnych epokach historycznych.

Przystępny język, przejrzysty układ treści, staranna szata graficzna, liczne ilustracje — to cechy, którymi różni się popularne kompendia „Wiedzy Powszechnej” od suchych podręczników specjalistycznych. Kompendia, powstające przeważnie wysiłkiem zespołu autorów pod redakcją wybitnych uczonych, stanowią swego rodzaju podręczne nowoczesne encyklopedie. Dobrze się stało, że w Rocznice Kopernikańskiej, a więc w okresie szczególnie podsycającym ciekawość wiedzy o wszechświecie, jego dziejach i budowie, „Wiedza Powszechna” wydała cenną publikację syntetyczną pt. „Astronomia popularna”. Książka jest wprawdzie wznowieniem, ale nowe odkrycia w astronomii spowodowały konieczność wprowadzenia dużych zmian w obecnym wydaniu.

Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe podjęły zakrojona na szeroką skalę akcję populary-

zacji sztuki, m. in. poprzez publikowanie taniach, a zarazem atrakcyjnych książek o sztuce, przeznaczonych dla szerokiego kręgu czytelników, wyróżniających się wartościowym, przystępnym opracowaniem tekstem i stosunkowo dużą ilością ilustracji. Publikacje te wydawane będą w poręcznym, kieszkowym formacie, nie zajmują więc zbyt wiele miejsca w domowych bibliotekach. Książki będą układać się w większe serie tematyczne, dotyczące różnych zakresów sztuki i historii kultury. Znajdą się tu zarówno prace specjalnie zamawiane u wybitnych specjalistów polskich, jak i tłumaczenia z języków obcych. Pierwsza seria nosi nazwę „Panorama sztuki” i obejmuje syntetyczne opracowania różnych dziedzin twórczości artystycznej. Zainicjowała ją wydana właśnie praca prof. Juliana Krzyżanowskiego „Sztuka słowa”, w dalszej kolejności ukazuje się „Architektura — sztuka kształtowania przestrzeni” prof. P. Biegańskiego. Natomiast publikacje z serii „Styl — kierunki — tendencje” mają się złożyć na swoisia historię sztuki europejskiej, uszeregowanej według kategorii stylowych. Cykl ten otworzyła książka W. Juszczyka „Postimpresjonizm”, w przygotowaniu są prace na temat impresjonizmu, surrealizmu, sztuki abstrakcyjnej, książka „Od pop-artu do sztuki konceptualnej”.

JOK

o tym, bo on również naprowadził mnie na trop bohatera niniejszego reportażu.

Oleg Nowicki, były kierownik Państwowego Urzędu Repariacyjnego w Olecku, to mężczyzna pełen jeszcze wigoru. Łatwo sobie skojarzyć skąd czerpie ten wigor, gdy słucha się jego opowieści o polowaniach w pobliskiej Puszczy Boreckiej, ulubionym wędkarstwie, kajakowaniu.

Mamy tu połączenia wodne z jeziorami augustowskimi, płynąłem kiedyś do nich z Raczek rzeką Dowspułą, uważam że jest to podróż ciekawsza od osławionego splywu Czarną Hańczą. Ale pan chciał wiedzieć, kiedy poznałem Feliksa Lubierzyńskiego.

Poznałem go w czasie wojny, przy pracach konserwatorskich na Górze Zamkowej w Wilnie. Prowadziliśmy tam też pewne prace wykopaliskowe, w trakcie których natrafiliśmy na groby powstańców z 63 roku — świadczyły o tym znalezione pierścionki i medale. Zoapiekowaliśmy się tym wszystkim, ukrył te pamiątki u siebie, pamiętam, profesor Morelowski.

Każdy musiał zarabiać jakoś na życie. Lubierzyński pracował tam z młodzieżą, pomagał z nią profesorowi w prowadzeniu prac. W Wilnie mieszkaliśmy przy ul. Milej, na Zwierzynicy, a Lubierzyński mieszkał przy ul. Jasnej, byliśmy więc sąsiadami. Jesienią 45 r. przyjeżdża do Olecka grupa ludzi, którzy mieli tu być zatrudnieni w starostwie, no i trzeba trafia, że w tej grupie jest właśnie Feliks Lubierzyński. Współpracowaliśmy blisko ze sobą, wtedy, kiedy był burmistrzem, i później, gdy objął Referat Kultury, gdzie pracował aż do przejścia na emeryturę.

Mecenas Romualda Stankiewicza, byłego starostę powiatowego w Olecku, zastając wraz z żoną Eleonorą wespole adwokackim.

Jak panu wiadomo — mówi mecenas — Lubierzyński był pierwszym burmistrzem Olecka. Z chwilą objęcia przez niego tego urzędu, Oleg Nowicki przekazał mu sprawy osiedleńców w mieście. Ludzie szarpali go o mieszkanie, o meble, o jakąś pracę — a on duszą przebywał w innych regionach. Kiedyś przychodzi do mnie do gabinetu i powiada: „Panie starosto, czy nie należałoby przede wszystkim uczcić tego momentu, że jesteśmy tutaj?” — „W jaki sposób?” — „Postawić pomnik!”

Muszę przyznać, że mnie zaskoczyło. Tu brak nam jeszcze chleba, mięsa, nie ma czym szklki okien, a on mówi o pomniku. Ale uparł się i pomnik postawiliśmy. Stoł naprzeciwko siedziby Miejskiej Rady Narodowej i przypomnia, że 21 stycznia 1945 r. ziemię to wrócił do Macierzy.

To samo ze zbieraniem historycznych materiałów. Był tak w tym zapalony, że nie można było sprowadzić go na ziemię, do rzeczy realnych, konkretnych, które były wtedy elementarną potrzebą każdego rozpoczynającego się dnia. Jeśli dopadł jakiejś sterty porzuconych książek, zwłaszcza książek o Olecku, to już przepadł, potrafił zakopać się w nich na tydzień i dłużej.

Pewnego razu, gdy ugrzęzłem w trudnych do rozwiązania problemach natury ekonomicznej, Lubierzyński wsadza głowę przez drzwi i mówi: „Panie starosto, pan ciągle zajęty, a mieliśmy przecież załatwić te herby...” Szło o herby tych miejscowości na Ziemi Oleckiej, gdzie utworzone zostały pierwsze siedziby Zarządów Gminnych, i tak prawie codziennie. Musiałem się po prostu zamykać w gabinecie, ale „dopadał” mnie w domu (mieszkał przy ul. Jasnej) i znowu swoje. W końcu zapowiedziałem żonie by mu zawsze mówiła, że mnie nie ma w domu...

Pani Eleonora uśmiecha się:

Pamiętam, w roku bodaj 1946 odbywała się inwentaryzacja instrumentów muzycznych. Mieliśmy w domu fortepian, jeden z nielicznych w mieście. Komisja zainteresowała się instrumentem, przyszła do nas, a chodziło o to, czy zostawić go nam, czy przejąć na cele społeczne. Instrument mógł zostać pod jednym warunkiem, że ktoś z domowników ma przygotowanie muzyczne, aspiruje artystycznie i fortepian jest mu po prostu potrzebny do pracy. Ja takich aspiracji nie miałam, choć grywałam dla przyjemności, syn, który kończy obecnie studia muzyczne w Krakowie, liczył sobie dopiero 3 lata, więc zgłosił się od razu fortepian oddać. Wtedy Lubierzyński, członek komisji, wiedząc, że przyzwyczailam się już do instrumentu i nielato jest mi z nim się rozstać, zaproponował, żebym coś zagrała. Komisja przystąpiła na to, zagrałam jakiś kawałek ze swego skromnego repertuaru, byłam jednak bardzo stremowana i wypadło to jeszcze gorzej niż zwykle. Widziałam, że największą przykrość odczuł właśnie Lubierzyński. Rzecz miała jednak i swoją pointę. Gdy wywożono instrument, przybiegł do mnie syn z płaczem: „Mamo, ratuj! Zabierają nam fortepian! To wszystko przez tego pana który kazał ci grać...”

Pan Ryszard Demby, kierownik Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Olecku, znany mi jest z szeregu pu-

niać się za piłką. Może mu się zdawało, że sport i wszystko, co się ze sportem łączy, to najpiękniejsza rzecz, o których warto jest marzyć i które warto robić. W czterastym roku życia jest się jeszcze przekonany, że na świecie jest dużo rzeczy czystych. Tak naprawdę jest ich cholernie mało. Kibice zdeptali jednego chłopca — mogli zdeptać przecież kilku; przy każdym wyjściu jednego na przykład. Zresztą kibice, nie tylko sportowi łatwo dępczą, łatwo wpadają w ekstazę, w gniew, w podziw. Kibice, którzy słuchali kazań Savonaroli, leżeli krzyżem na kamieniach Florencji; gdy zaczęły go brać w siebie plomienie stosu — ci sami kibice mieli na wargach i w oczach sznyderstwo i pogardę. Między innymi dlatego właśnie nie lubię kibiców. Ale przecież zdeptali tylko jednego chłopca... A więc nie jest tak źle.

Mój sąsiad na laweczce w poczekalni dworcowej, trzymając na kolanach podniszczony czamadanik (żółta skóra, lata 20-te), skrzył mi się na pokusy i pulapki cywilizacji.

Panie, podobno jakiś upomniany przez sędziego zawodnik, obiecywał mu solennie, że go samochodem przedzieje. Nie szlachetka, nie butelka po lepe-

tynie — a samochodem go załatwił. Widzi pan? A jeszcze jak te fiaty się po kraju rozliza, to już będzie sodoma, gomora i czikago.

Potem mój przygodny znajomy wyciąga z podniszczonym czamadanikiem japoński telewizor tranzystorowy i wspólnie oglądając mecz hokejowy Polska-Szwecja. Z rozrewnieniem patrzymy na naszynek hokeistów: morowe chłopa! grają czysci jak aniołeczki, płamy na nich nie ma i chociaż grają w tego hokeja tak, jak by grill w brydża albo w durnia, to jednak kochane basalyki-rycerzy się dotąd nie wplątały, nie kradły, nie przemycali, nie handlowali, a że głowy (czy czegoś tam trzeba) do hokeja nie mają, to nie ich wina, przecież, nie każdy tę grę męską, brutálną, twarzą lubi (nie każdy rodzi się poetą) — niezguly kochane, że za honor nasze go sportu ratują! częściej bym ich za granicę wysyłał! Z dużą ekipą towarzyszącą...

Kiedy pan z podniszczonym czamadanikiem (żółta skóra, lata dwudzieste), wsiał w swój

CZŁOWIEK, KTÓREMU WYSTARCZAŁ OGAREK

blikaacji na temat przeszłości Ziemi Oleckiej i ludzi z nią związanych, które drukował na łamach białostockich „Kontrastów”. Ma również ambicje literackie, potwierdzone m. in. nagrodą w jednym z białostockich konkursów na opowiadanie.

Mieszkał w Olecku od roku 1957 i od tego czasu pracuje w Bibliotece. Może to kontakt z książkami, może trochę pasji osobistej, ale od początku interesuje się dziejami regionu, a zwłaszcza okresem, kiedy Polacy osiedlali się tu po raz pierwszy. Miało to miejsce w połowie wieku XVI, bo wcześniej, po wyplenieniu Jaćwingów, przez prawie dwa stulecia były to ziemie niezje. Dopiero po słynnym Holdzie Pruskim, kiedy nastąpiła tu pewnego rodzaju stabilizacja, zaczęli napływać na te tereny z północnego Mazowsza i Podlasia pierwsi osadnicy polscy. Sprowadził ich margrabia brandenburski, Albrecht Hohenzollern, były mistrz krzyżacki, który państwo krzyżackie przekształcił na lenne księstwo świeckie — Prusy Książęce.

Pisze Lubierzyński:

„W swojej podróży w roku 1544 zatrzymał się książę Albrecht pewnego dnia nad dużym jeziorem. Piękny krajobraz i otaczające jezioro, lasy obfitujące w zwierzynę skłoniły księcia do tego, iż na niedużym pagórku otoczonym od północy jeziorą, a od zachodu i południa wypływającą z tego jeziora rzeczką Legą o pierwotnej nazwie Lecka — kazał zbudować sobie zamek myśliwski, a przy nim stajnie i magazyny. Zamek ten, jako położony nad rzeką Lecką, otrzymał nazwę Olecko i w tym to zamku odwiedzić miał księcia Albrechta król polski Zygmunt August. W roku 1560 książę założył obok zamku miasto, nadając mu nazwę Margrabowa — wraz z herbem i prawami miejskimi.”

Warto tu dodać, że „na pamiątkę” owego spotkania osiatniego z Jagiellonów z księciem Albrechtem powstały dwa miasta, leżące w niedalekiej od siebie odległości: Margrabowa (Olecko) i — Augustów.

Olecko nie posiada zabytków architektonicznych, nawet na miarę ośrodków miejskich na Warmii i Mazurach. Miasto często ulegało pożarom, zostało też poważnie zniszczone w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej.

Osobliwością Olecka jest rynek, jeden z największych w Polsce. Podanie głosi, że ówczesny starosta olecki założył się z kimś o większą sumę, że kiedy stanie na jednym końcu rynku, z drugiego końca nie będzie go widać. Jeśli wziąć pod uwagę faliste ukształtowanie terenu, zakład ten wyda się całkiem prawdopodobny. W każdym razie lokowanie Olecka z taką wielkim rozmachem związane było z pewnymi planami księcia Albrechta. Miasto znajdowało się na pograniczu polsko-litewsko-pruskim i miało w przyszłości stać się poważnym ośrodkiem handlowym. Tu odbywały się duże targi na bydło, na konie, a w późniejszym czasie, już w wieku XIX, trwała ożywiona wymiana towarowa między Carską Rosją a Prusami.

Feliks Lubierzyński zaraz po wojnie, kiedy jeszcze dymyły tu zgliszca, myślał o zabezpieczeniu śladów polskości. Pierwszy wprowadził konserwację zabytków, interesował się architekturą starych kościołów, np. kościoła w Jelczkach, odkrył polskie napisy na płytach nagrobkowych w kościele w Cichym, pochodzące z końca XVII wieku.

Feliks Lubierzyński miał jednak i całkiem inne, wręcz egzotyczne zainteresowania. Był związany ze sprawami okultyzmu, interesował się żywo Indiami i doprowadził nawet do zorganizowania w Olecku Koła Przyjaciół Polsko-Indyjskiej — rzecz „na szczeblu powiatowym” rzadko spotykana. Nawiązał kontakt z Zarządem Głównym Towarzystwa w Warszawie, sprowadził stamtąd różne materiały, które u nas popularyzowały, dążył do zwerbowania jak największej ilości członków. Trudno mi powiedzieć, skąd wzięło się to jego zamierzanie do spraw dla nas przecież odległych, w każdym razie potrafił zgromadzić znaczną grupę ludzi, która czynnie uczestniczyła w zebraniach Towarzystwa. Dyskutowano tam o tradycjach historycznych i kulturalnych Indii, a także o współczesnym życiu społecznym i politycznym tego wielkiego kraju. Omawiano m. in. twórczość Rabindrantha Tagore, słuchano nagrań muzyki hinduskiej itp.

Lubierzyński był motorem całego działania, to on zespilił owe dość liczne grono ludzi, podtrzymywał ich więź ze sobą. A że tak było istotnie, świadczy fakt, że po jego śmierci to koło niestety się rozpadło.

W Olecku mieszka nadal i pracuje córka Feliksa Lubierzyńskiego, pani Ludmila Jacewiczowa. Nielatwo namówić

ją na wspomnienia o ojcu: po pierwsze — jako sekretarz Miejskiej Rady Narodowej jest ciągle czymś zaabsorbowana, po drugie — uważa, że są to sprawy bardzo osobiste, a tu jakiś obcy człowiek chce jej wchodzić „butami do duszy”.

Umawiamy się przeto, że pani Ludmila powie mi coś na temat „drogi życiowej” ojca (a więc rzecz na polu oficjalna, biograficzna), a potem może... Ale nie uprzedzamy faktów.

Ojciec urodził się w Grzywnie na Ziemi Toruńskiej, w 1883 roku. W tym czasie nie było tam polskich szkół, były tylko niemieckie, ojciec uczęszczał do gimnazjum w Chełmie. Działały tam tajne związki młodzieżowe, w tym również „Związek Filomatów”. Po wykryciu tej organizacji, jej członków spotkały restrykcje, ojca po prostu wydalono z gimnazjum z „wilezym biletem”. Udało mu się wyjechać do Dreżna, tam ukończył szkołę średnią, a następnie przeniósł się na studia do Krakowa. Studiował jakiś czas filozofię, był związany ze środowiskiem Młodej Polski. Potem jednak zachorował poważnie dziadek i ojciec musiał zacząć pracować zarobkowo. Tak się złożyło, że już nieco wcześniej odezwała się w nim żyłka literacka — teraz poszedł za jej głosem. Napisał i wydał w Krakowie w roku 1908 dramat pt. „Dzwonnik”, a w trzy lata później sztukę pt. „Fluzje” (podtytuł — komedia modernistyczna), która została wystawiona w poznańskim Teatrze Polskim.

Główną treścią życia ojca było przywiązanie do polskiej sprawy. Zrodziło się ono na pewno pod zaborem pruskim jako naturalny odruch na poczynania germanizacyjne. Zresztą ja jestem z pokolenia wojennego, moja młodość przypadła na okres okupacji i jest to dla mnie klucz do rozumienia postawy ojca. Naturalną koleją rzeczy, kiedy ojciec znalazł się na tych terenach, jego pierwszym poczynaniem było odnajdywanie tu śladów polskości.

Jeśli idzie o działalność ojca przed wojną, koncentrowała się ona głównie na życiu artystycznym i literackim. Poza wspomnianymi dwoma sztukami, ojciec wydał w roku 1937 zbiór opowiadań pt. „Mikołaj z magicznego lustra”. Wcześniej, bo od roku 1925 zaczął wydawać w Warszawie „Przegląd Artystyczny”, czasopismo poświęcone sprawom teatru, muzyki, plastyki, literatury, radia i filmu. Zakres treści pisma był bardzo szeroki, podobnie zresztą jego zasięg terytorialny: „Przegląd” miał swoje przedstawicielstwa w Wilnie, Krakowie, Lwowie, Łodzi, a nawet w Paryżu.

Pamiętam dobrze powojenne związki ojca (a także już i moje) z Łodzią, kiedy to przeniósł się do tego miasta nasz wileński Teatr „Lutnia”. Te związki poprzedziła pewna tradycja, wiem, że ojciec często drukował w „Przeglądzie” korespondencje dotyczące Łódzkiego Teatru Popularnego i działalności na rzecz środowiska robotniczego dyrektora teatru, Józefa Piłarskiego.

„Przegląd Artystyczny”, zawieszony na jakiś czas w latach Kryzysu, zaczął ukazywać się ponownie w roku 1936 i dotrwał w Wilnie aż do roku 1940, kiedy to wyszedł specjalny numer pisma poświęcony sztuce litewskiej.

Pyta pan, czy już tu, w Olecku, nasz dom nie cierpiał z powodu artystycznych i nie tylko artystycznych „ciągot” ojca? Mówiąc szczerze, cierpiał i to bardzo, bo czasy były ciężkie, prawie cały nasz, niewielki zresztą dorobek został w Wilnie, wszystkiego brakowało w domu, a ojciec tym się wcale nie przejmował, prowadzenie domu spoczywało na barkach mamy. Doznawałam wtedy uczuć, które zwykle się nazywają złożonymi... Ojcu wystarczał kawałek ogarka, parę książek, kartka czystego papieru żeby mógł nad nią usiąść i pisać. Może to był i skutek wpływu filozofów hinduskich, dla których doczesne życie nie stanowiło przedmiotu zainteresowania...

Zresztą w tym kierunku ojciec starał się i mnie ukształtować, także za pomocą listów, gdy na jakiś czas wyjechałam z domu. Mam taki jego list z roku 1958, w którym pisał do mnie: „W twoim pierwszym wystąpieniu do nas liście piszesz, że się nudzisz. Dziwię się temu, bo ja mam zawsze za mało czasu, zważywszy, że życie jest krótkie, a droga do zrozumienia samego życia, wypracowania doskonałości wewnętrznej — bardzo daleka. Myślę, że właśnie teraz, kiedy tam nie masz specjalnych trosk, mogłabyś poświęcić trochę czasu na rozmyślanie nad twoim stosunkiem do życia, stosunkiem do ludzi, nad prawem przyczyn i skutków, aby uzyskać wyższy stopień świadomości i zrozumieć, gdzie tkwi piękno życia. Jeżeli zechcesz, mógłbym ci z tego zakresu przesłać jakieś broszury, bo chciałbym, żeby to, co dla mnie w wielu sprawach życiowych było bardzo pomocne i jeszcze teraz daje dużo satysfakcji, stało się także twoim udziałem”.

TADEUSZ GIGIER

ta chwila jedna, jak brakujące ogniw, które za chwilę połączają, aż nadejdzie moja „transsyberyjska”. A propos Transsyberyjskiej — otóż kolej ta i bieżąca, która się w tamtych czasach rozpoczynała w Warszawie — miała niewiele wie o tym) zaczynać się w... Kuluszkach. Tak jest. Był bowiem plan pierwotny, żeby Kolej Transsyberyjską zacząć od Kuluszek. Niestety, plan — znakomity zresztą — w samym już swym zamyśle — z pewnych przyczyn upadł. I tak to Transsyberyjska ma inny rozstaw kół i inny stukot, a ekspresy kuluszkowskie — zgłota inny. Różnie jest więc, ale nie w tym rzecz. Faktem jest, że gdyby Transsyberyjska zaczęła się w Kuluszkach, inaczej zaczynałby się w ogóle pomat Cendrasa, który nosze zawsze w lewej wewnętrznej kieszeni mego plecaka i który grzeje mi serce oddechem Złoty z Francji i wspomnieniem...

Wspomnienia w podróży odgrywają ogromną rolę — pozwalają z drobin lepić fragmenty całości coraz większe i większe, aż nagle okazuje się, że dojechalśmy już do ostatejnej stacji, że więcej wspomnień nam nie potrzeba, bo nie ma ich już w nas, że jeszcze tylko

ta chwila jedna, jak brakujące ogniw, które za chwilę połączają, aż nadejdzie moja „transsyberyjska”. A propos Transsyberyjskiej — otóż kolej ta i bieżąca, która się w tamtych czasach rozpoczynała w Warszawie — miała niewiele wie o tym) zaczynać się w... Kuluszkach. Tak jest. Był bowiem plan pierwotny, żeby Kolej Transsyberyjską zacząć od Kuluszek. Niestety, plan — znakomity zresztą — w samym już swym zamyśle — z pewnych przyczyn upadł. I tak to Transsyberyjska ma inny rozstaw kół i inny stukot, a ekspresy kuluszkowskie — zgłota inny. Różnie jest więc, ale nie w tym rzecz. Faktem jest, że gdyby Transsyberyjska zaczęła się w Kuluszkach, inaczej zaczynałby się w ogóle pomat Cendrasa, który nosze zawsze w lewej wewnętrznej kieszeni mego plecaka i który grzeje mi serce oddechem Złoty z Francji i wspomnieniem...

Pewien facet opowiadał mi, że w małej miejscowości pod Kuluszkami zdarzył się dziwny zgola wypadek. Wracający nocą na lekkiej bańce traktorysta, wstąpił do stojącej na uboczu stawówki, a że ta była stara i mocno nadrużniała — wpadł w dół i ani rusz nie mógł się z niego wydostać. Wygódka stała przy opuszczeniu zagrodzie i niki wołań traktorzysty (rozpaczyliwych) nie słyszał. Rano jednak znalazły go, a raczej trzeba powiedzieć — odkryły go

tam dzieci, bawiące się w pustej stodole. Jednak miast pobiec w te pędy po dorosłych, postanowili same zoapiekować się więźniem nieodrodnego (bądź co bądź) więźnia. Uczyniły ze znaleźnika swoją własną tajemnicę, uznając zgodnie, że będą tego pana miały na własność i tylko dla siebie. Zaczęły mu więc znosić różne smakołyki, wykradane z domu, aby pan nie był głodny i miał się dobrze. Po trzech dniach sprawa jednak wyszła na jaw i traktorystę w stanie skrajnego wyczerpania (fizycznego i duchowego) uwolniono z pulapki. To dziwne zdarzenie poruszyło do głębi moją wyobraźnię. Oto przekonałem się bowiem naocznie, jak głęboko jest w psychice ludzkiej zakorzeniona chęć posiadania. Od dziecka chcemy posiadać, mieć, być właścicielami.

Pewien mój znajomy ma samochód, telewizor, składany rower, żaglówkę na Mazurach, domek campingowy i inne ta-

kie. Pracuje na etacie i paru pólatach, bierze chałtury do domu na niedzielę. Stowem tyra przez okragły rok, jak przystoiowy „dziki osioł”. Ostatni raz był na urlopie cztery lata temu, bo nie ma czasu, bo mu terminy nie pasują. Haruje, aby to wszystko, co ma, utrzymać, nie korzysta przy tym z niezłego. Żądza posiadania uczyniła z niego niewolnika przedmiotu, od którego nie jest w stanie się oderwać. Zona jego też pracuje, aby ten stan posiadania powiększyć i tak obrastają przedmiotami, jak wrak zatopionego statku, który powoli zamienia się w rafę koralową.

Express do Rzymu wjedzie na tor... przy peronie... planowy odjazd godzina... — chrpył w megafonie uroczy sznaps-barytonik. Dworzec w Kuluszkach, to jednak przewrotne miejsce.

GLOBTROTTER

W konkursie na powieść, tom opowiadań, scenariusz filmowy i telewizyjny, ogłoszonym w związku z nadchodzącym 30-leciem PRL przez Wydawnictwo „Śląsk” i Oddział Katowicki ZLP uzyskała II nagrodę powieści Wiesława Jażdżyńskiego pt. „Pojednanie”. Tematyka patriotyczna zajmowała zawsze znaczące miejsce w twórczości autora „Świętokrzyskiego poloneza”, powieści także wyróżnionej laurem. Dalszym potwierdzeniem tej linii rozwojowej Wiesława Jażdżyńskiego były powieści: „Pomnik bez cokołu” oraz „W ostatniej godzinie”.

Serdecznie gratulujemy Wiesławowi Jażdżyńskiemu zaszczytnego wyróżnienia. Jest on od dawna związany z naszym tygodnikiem m. in. jako naczelny redaktor „Ogłosów” w latach 1958—1964.

SPOTKANIE Z MONIKĄ

Stoje przed domem rejenta. Same tu teraz powiatowe zarządy, łącznie z weterynarią. Odpady ozdoby nad oknami, przy zwieńczeniu kolumn ganku, dom zmienił kolor, jest jasny, prosty, odmłodzony. Tylko z ogrodu, pięknego ogrodu Nadborów ani śladu. Betonowy podjazd, garaże, składy wypełnity bez reszty miejsce po ulubionych kwiatkach pani rejentowej. Wraz ze starym tykiem odpadło i gniazdo rodzinne Nadborów.

Blisko trzydziści lat temu, w zadeszczony dzień jesienny, stanąłem po raz pierwszy przed tym domem. Rozkręcał się sied nasz ojciec sanitarny partyzantów. Działal już nieleż punkt w Suchych Piaskach, obsługiwany przez akuszerkę. Poświat nie miał żadnych kłopotów, zgodził się pracować tak radośnie, jakby wojny nie było.

Próg domu Nadborów przekroczyłem z imieniem doktora Budryna na ustach. Rejent cierpiał trochę, ale nie groźnie na reumatyzm łącznotkankowy, dla świętego spokoju Budryn wstrzykiwał mu nowokainę. Skąd Nadbór brał nowokainę — tego nie wiem, przyjmował także doustnie środki przeciwbólowe, bodaj kolodę, miał odżywiać się racjonalnie, dużo witamin, mało mąki i tłuszczów. Wszystko, co Nadbora dotyczyło, wiedziałem od Budryna — wsuń mu w tyłek z wierzyczącą powagą tę jego nowokainę, pogadaj, mój drogi, o marchwi i cebuli, nie cię to nie będzie kosztować, rejent zdrów jak byk, no i pogadaj z panną Moniką.

Otworzyła mi Monika. Nigdy jej nie widziałem z bliska, owszem, mignęła mi kilka razy na ulicy, ale nie zwracałem na nią uwagi...

— Pan do kogo?
— Do pana rejenta, zastępuję doktora Budryna.
— Ach, sławny pan asystent! Ojciec akurat śpi, co zrobimy?
— Do pani przyszedłem także.
— Czuję się dobrze.
— Właśnie dlatego.

— Pan mnie zaciekawia, proszę do środka.
Podala mi rękę na powitanie, a mnie zdawało się, że nasza znajomość trwa od dawna, zetknęliśmy się znacznie wcześniej, w jakichś arkadyjskich czasach, nie poznajemy się, ale odnajdujemy. Siedzę z Moniką przekonany, że po raz drugi przekraczam drzwi, które otwierają wszystkie nadzieje. Siedliśmy w wygodnych fotelach. Przyglądała mi się uważnie.

— Powiem od razu z czym do pani przyszedłem.
— Umieram z ciekawości.

— Kiedy nie o ciekawość chodzi, lecz o odwagę i milczenie. Zaczęłam celowo trochę patetycznie, chciałem wzmożnić nasze porozumienie elementami wspólnej tajemnicy, bardzo polskiej i patriotycznej. Krótkimi, żołnierskimi słowami przedstawiłem plan Budryna. Leże się krew, nasi chłopcy poszli w lasy, idą następni, trzeba ich otoczyć lekarską opieką, naszym obowiązkiem jest teraz gościć rany, szyc mięśnie, zastawić kości, zapobiegać zakażeniom, uczyć elementarnych zasad higieny i żywienia w warunkach wojny partyzanckiej, stwierdzać powrót do życia, kalectwo lub, niestety, śmierć.

— Słucham uważnie, podesuła mi paczkę niemieckich papierosów „Juno”, sama nie paliła.

— Do czego mogę się przydać?
— Powiem paradoksy: pani tak zwraca uwagę na siebie, że właściwie już nie zwraca, pani jest dla wszystkich, powiedziałbym, oczywista, wkompanowana od zawsze w to miasteczko.

— Wolalabym nie być tak wkompanowaną, ale pięknie dziękuję, dużo pana nauczył doktor Budryn.
— I ja dziękuję, stąd też o to, żeby te pani ogólnie zaakceptowała oczywistość przez Wolfa, sierżanta Bugala, odpowiednio wyzyskać, jeżeli pani się zgodzi.

— Już pytałam, co mam zrobić, mówię człowieku — co, jak, gdzie i kiedy?

— Trzeba rozwieźć do następnego punktu sanitarnych środków medycznych, jakie posiadamy. Takie będzie pani pierwsze zadanie.
— Rozumiem, zgoda.

— Odaliśmy sobie ręce, ale nie zdążyłem mówić szczegółów, do pokoju weszła pani rejentowa.

— Monika, czy mogłabym wiedzieć, z kim mam przyjemność?

— Cóż za okropny, skrzypany akt! Byłem wściekły, wstałem jednak, przedstawiałem się grzesznie, trząskając po kawalersku obcasami oficerskich butów. Były wtedy bardzo modne i brzydzące, w które wystroiliśmy się specjalnie.

— Wojniłowicz? Ono mi się o szczy pańskie nazwiło. Pan pewnie ze Wschodu?

— Tak, laskawa pani. Wrócić nie mogę, więc pomagam doktorowi Budrynowi, jestem jednak Wojniłowicz przez jedyną „I”.

Monika usmiechnęła się do mnie porozumiewawczo. Dławiła nadal pani rejentowa. Już się pomiędzy mną i Moniką coś wzięło nawzajem, wykiwowało, puszczało pierwsze paciaki, już miałem przerzucić rozmowę na sprawy osobiste, powiedzieć o samotności i rzece, która płynęła pod oknami mojego dzieciństwa, a tu masz ci los! Chłopi powiadają — niebezpieczniej jest drażnić starą babę niż psa.

— Mój mąż już się obudził. Cierpi bardzo.
— Postaram się pomóc i będę szczęśliwy widząc zadowolone laskawej pani.

— Usmiechnęła się i raz jeszcze podesuła mi rękę do całowania.
— Ciesz się, że mamy inteligentną i dobrze wychowaną młodzież. Niech pan, niezależnie od koniecznych zabiegów, pocieszy mojego męża. Słowo pocieszy jest lekarzem dacha — powiedziała bez sensu i ruszyła przodem.

Rejent Nadbór przypominał obrzydła. Mimo choroby nie mówił, lecz huczał potężnym basem i od razu było widać, że to bardzo towarzyski człowiek z wymiatającego rodzaju: tu polowanko, tam śniadanko, ówdzie suta kolacyjka-libacyjka. Nie był chory, ale i on umierał wraz ze swoim gatunkiem ostatnich.

— Panie Wojniłowicz, przecie pan dobrze wie, że nie jestem chory, robię to dla żony, albo inaczej mówiąc — dla świętego spokoju.

— Znakomicie, panie rejencie, było tylko nie przedawkować, ani lekarstw ani spokoju. Niektóre laki bywają gorsze od choroby.

— Będzie z pana pociecha, siadaj pan, pogadamy.
Rejent zabrał się z miejsc do gruntownej osmy sytuacji na wszystkich frontach wojny. Alianci, no, bo oni się głównie liczą, wiedza doskonale co robią. Jedyny sposób na Niemców — to rozciągnąć ich po świecie, rozsypać, rozproszkować po całej Euro-

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

pie, Afryce, stepach Ukrainy i rosyjskich lasach. Genialna myśl, genialne wykonanie. Chcecie Jugosławie, Rumunię, Bułgarię, Grecję? Proszę bardzo. Krete i Afrykę? Proszę bardzo. Czerwoni nie mogli otrzymać skuteczniejszej pomocy.

Nie odzywałem się ani słowem, rozumiałem rejenta, on nie miał komu wieszczyć, potrzebował wyznawców, a nie dyskutantów. Nadbór podkradł się do okna i sprawdził, czy nas przypadkiem kto nie podsłuchuje, zawrócił uspokojony, wszystko w porządku, można nauczać dalej. Otóż to jest tak: zdobytej ziemi musi pilnować żołnierz, im więcej ziemi do pilnowania, tym więcej potrzeba żołnierzy, na tej prawdzie zbudowali alianci swoją strategię i w ostatecznym rachunku wygrała, nie ponosząc specjalnie dużych strat.

Próbowałem zauważyć nieśmiało, że to Rosjanie zatrzymali Niemców pod Stalingradem, ale Nadbór przerwał mi z miejsca. Stalingrad? Ależ drogi panie Wojniłowicz, Stalingrad to właśnie przykład mądrości aliantów. Wpuszcili Niemców w głąb Rosji, a jak się ci panowie tak daleko zapędzili, zaczęli szybko Rosjan wspomagać. Wojna to ekonomika! Puszki z koncentratami, tabor samochodowy, działa, czołgi, ot i niemiastki stanęły. A o to właśnie chodzi. Wykład rejenta trwał co najmniej bitą godzinę. Uciekłem w popołudniu.

Monika czekała na mnie w rynekczku.

— Nie dokończyliśmy naszej rozmowy.

— Pani mama raczyła nam przeszkodzić, a pan rejent był laskaw udzielił mi korepetycji.

Rozesmiała się.

— Ojciec robi małą i nie zawsze dorzeczną politykę w domu, nie najgorsze pieniądze w bliższej i dalszej okolicy, ale to dobry człowiek. Mama zajmuje się podglądaniem i przedzeniem miotów, a ja bym chciała — po prostu — zrobić coś rzeczywiście pożytecznego.

— Nadarza się niezła okazja.

— Właśnie. Współpracowałem jakiś czas z Fabijańskim. Czysty przypadek, zajął się kiedyś do naszego grobowca, grobowce także trzeba sprzątać. Znalazłem karabiny. Zagiądałem jeszcze nie jeden raz, broni przybywało. Fabijański chyba mnie obserwował, bo podszedł któregoś dnia, pracował jeszcze w magazynie, zaczął normalnie, od pogody, skończył się na karabinach. Przenosiłem mu w teczkę granaty, zamki do naboji, naboje także. Ale on znikł, słyszałem, że najpierw stracił dłoń, a potem go rozerało.

— To prawda, ale teraz będzie pani nosiła nie to, co zabija, lecz przywraca zdrowie.

Miasteczko zostało poza nami, poszliśmy piaszczystą drogą w stronę samotnej topoli. Najpierw spotkały się nasze dłonie, później, pod ogołoconą z liści topolą pocałowałem Monikę, a ona powiedziała mi o Gajusie i Gal.

— Czy ty jesteś dobry?

— Nie wiem, czasami wierzę w siebie, a czasami nie.

— To bardzo ryzykowne wierzyć i nie wierzyć równocześnie. Trzeba się na czymś mocno oprzeć, nie można żyć inaczej.

— Trudno teraz o coś trwałego.

— Wiem.

Mieliśmy, na pewno mieliśmy wtedy pełną świadomość powszechnego umierania, każdego dnia ginęli ludzie, nasi, Rosjanie, Anglicy, Niemcy, Francuzi, umierali tysiącami Żydzi, ale w nas zaczęła zwiędnięć pewność wspólnego przetrwania.

Wracaliśmy przytuleni do siebie, zajęci sobą, wyłączni z realnego świata małego miasteczka. Ocknęliśmy się w miejscu, gdzie piaszczysta droga przechodziła w brukowaną uliczkę. Wolf stał z grupą uzbrojonych po zęby żandarmerów.

— Ze spaceru pani i pan?
— Pracy dużo, trzeba się trochę przewietrzyć, panie komendant.

Wolf był rytmicznie pejemem, trząskając skóra wysokich butów. Zandarmeri stali bez jednego ruchu i wpatrywali się w nas uważnie.

— Niebezpiecznie teraz spacerować tak daleko, panie Wojniłowicz i panienko Nadbór. Dużo bandytów ostatnio.

Wyczuwaliśmy, że Wolf do czegoś prowadzi, chce nas zaskoczyć, wie coś dla nas niedobrego. Może Budryn aresztowany i teraz na mnie kolej? Monika zachowywała się nad podziw spokojnie.

— Pan komendant poradzi sobie z każdym bandytą, pan jest fanatykiem ludu — powiedziała z uśmiechem.

— Jestem, to prawda.

Odpowiadał mi Monika, ale adresował te słowa do mnie, patrzył w moje oczy zimno, siekl nadal pejemem buty, wreszcie usmiechnął się ciepło. Ta nagła wymiana twarzy przeraziła mnie.

— Mam dla panienki Nadbór bardzo dobrą wiadomość.

Znowu zwracał się pozornie do Moniki, patrzył jednak wylącznie na mnie.

— Nowy transport waszych papierosów? Lubię je, są delikatne.

Wolf przyciskał mnie oczami do plotu, sięgnął do pękatego chlebaka, wyciągnął kilka paczek „Juno” i „Overstolów” i podał je Monice. Podziękowała spokojnie, jakby się nie takiego nie działo, zwykle spotkanie towarzyskie, normalna wymiana grzeczności i upominków. Wolf podszedł do mnie. Pomyślałem, że jeśli i tym razem nie powie — przegrałem, rozsypanie się pod jego spojrzaniem. Stuknął mnie poufale pejemem w pierś.

— I dla pana Wojniłowicza mam same dobre wiadomości. Znaleźliśmy całą skrzynię leków, naszych niemieckich leków. Złodziej uciekł, nazywa się Kucharczyk. Pan go zna?

— Staralem się zachować spokój, za kłoda, za wszelką cenę.

— Chyba tak, chociaż w mleczeniu krąży się bardzo dużo ludzi.

— A jak pan Wojniłowicz myśli, dla kogo to taki Kucharczyk ukradł? Przecież mamy już walczącemu żołnierzowi niemieckiemu, prawda?

— Oczywiście, ale policja nie ma śladu mu było do skrzynki z lekami.

Nie wiedziałem, co mam mówić Kucharczyk wpadł? Jak to się mogło stać? Może wpadł i Monika, jeżeli Wolf rzeczywiście konkretnie nas podejrzewa. Usłyszałem spokojnie głos Moniki.

— Pan komendant lubi urządzać kawały.

Wolf zdekoncentrował się, saskoczył go stowa Moniki.

— Co takiego panienka Nadbór powiedziała?

— Pan komendant lubi żarty, ja też lubię. Ale pan komendant dobrze wie, że doktor Budryn i pan Wojniłowicz lojalnie z wami współpracują. Liczą polską ludność, żeby dobrze pracowała.

— To jest prawda — przyznał Wolf.

— Was też leczy, nie macie swojego lekarza na miejscu, sami przeciw panowie przekatujemy doktorowi Budrynowi trochę lekarstw.

— To jest też prawda, panienko Nadbór, a pan Wojniłowicz niech uważa na choroby, niech im się uważnie przygląda, nie chciałbym za niego tego robić. Ja raz bardzo lubię żarty, a drugi raz bardzo nie lubię.

Zasalutował uprzejmie i odpaszzerował ze swoim. Słuchaliśmy jakiś czas rytmicznego tonotu potkniętych butów.

— Boisz się?

— Boję się — odpowiedziałem.

— Ja też. Nie bałam się dotąd, ale teraz się boję.

Lęk stanął na początku naszej miłości i towarzyszył nam aż do jej końca.

Fragment powieści „Pojednanie”.



ZDZISŁAW JASKUŁA

„Codziennie kupuję bilet na pociąg który nie odjedzie”

BACZYŃSKI

Poeta współczesny w przedziale pierwszej klasy pisze wiersz poezjalny przeżywanie jest jego zawodem mój boże dlaczego ten pociąg tak długo nie odjedźda myśli poeta współczesny w przedziale pierwszej klasy i dopisuje w wiersze trzecim słowo nagły do słowa odjazd Poeta nie wie że Jedzie w niewłaściwym kierunku kobieta obok pyta o coś ciężarnym brzuchem Ale niestety poezja nie jest odpowiedzią

1972



JACEK BIEREZIN

Bezsenna

(III)

RYSZARDOWI KRYNICKIEMU

Na kolejnym dworcu dobrowolnego zesłania czekała na mnie wyostrzona Bezsenność Nie przychodziły i nie odchodziły żadne pociągi spóźniał się jedynie towarowy z rajy Od ostatniego wychnienia przeciętego nagie i jak zwykle świadomie dzieliło mnie 300 kilometrów decyzji Otwarte najważniejsze sprawy znów podchodziły do gardła Pamięć podjęła ryzyko zjawili się przyjaciele zagubieni w kilku listach kobieta mówiąca: dobrze że jesteś

Na kolejnym dworcu dobrowolnego zesłania na jednym z wielu peronów bezsenna czekałam na swój następny pociąg odjeżdżający zawsze na tę samą bezładną wyspę nadświadomości

Kasandra dworcowa zapowiedziała odejście zbyt pośpiesznego pociągu

1972



WITOLD SUŁKOWSKI

Kolejka (pouczenie)

Tylko dobrze, pilnuj miejsca w kolejce. Zagapisz się na wędrującą po ścianie mrówkę i znów jesteś na końcu. W tej grze nie wolno być nieuczynnym. Nie opędzaj się od much. Nie ocieraj potu. Nie zawiązuj sznurowadeł, nie podciągaj spodni. Możesz co najwyżej poprawić ostrożnie krawaty. Najbardziej strzeż się tych, którzy cię niby przyjaźnie zagadują, aby cię chytkiem wyprzedzić. Najlepiej nie odpowiadać na zaczepki. Szczególnie natrętnych zbywaj automatycznymi „być może”, „to zależy”, ewentualnie”.

Pamiętaj. Okienko jest jedno a was wielu i wciąż przybawiają nowi. Nie spuszczaaj go ani na moment z oka. Wówczas prawdopodobnie je osiągniesz.

Wolno ci stać przed NIM tak długo, aż nie padnie hasło „następny”. Wtedy prędko biegnij na koniec.

„MR BROWN“

Nigdy nawet nie próbował zdobyć fortuny. Nazywa się Jean Zumbach, nosi pseudonim „Mister Brown”. Jest awanturnikiem, to prawda, ale innym od innych: ma niezwykle poczucie humoru.

Sredniego wzrostu, raczej krępy, o dość dużej twarzy, wiatrami i słońcem spalonej na brąz, robi wrażenie częstego gościa małych paryskich barów, w których gnieźdzą się wydrwigrosze różnego autoramentu i ich ofiary. Nie wygląda na jednego z najgłośniejszych awanturników naszych czasów, gdy z rękami w kieszeniach wyblakłego płaszcza wałęsa się po Champs-Élysées.

Pseudonimu, pod którym znany jest w szerokim świecie — Mister Brown — nie należy brać zbyt poważnie. Jan Zumbach jest autentycznym bohaterem bitwy o Anglię, ale obok tego jest także przemysłowcem szwajcarskich zegarków, amerykańskich papierosów i funtów szterlingów.

Już samo pochodzenie Jana Zumbacha, jeśli to można tak określić, jest awanturnicze: Polak z urodzenia i serca, Szwajcar z pochodzenia, Anglik z tytułu wysokich odznaczeń brytyjskich z okresu wojny, międzynarodowy obieżyświat z racji rozgałęzionych kontaktów handlowych i przemysłowych.

— Pan ma mnóstwo dusz — powiedział któregoś dnia szef białofrańskiej secesji, generał Ojukwu, pytając go o narodowość.

— Jestem narodowości międzynarodowej, sir — odpowiedział Zumbach.

Jan Zumbach urodził się niedaleko Warszawy i pochodzi z zamożnej rodziny. Już jako kilkunastoletni chłopiec uległ pasji lotnictwa. Aby zostać lotnikiem sfalszował metrykę urodzenia. Było to jego pierwsze pogwałcenie prawa.

— Matka nie chciała nawet słyszeć o lotnictwie — opowiada Zumbach. — Pragnęła, żeby został... księdzem. Mamo — powiedziałem zaraz po maturze —

będę lotnikiem. To też blisko nieba...

Gdy był już elewem szkoły podchorążych lotnictwa na krótko przed wybuchem wojny, matka prosiła go:

— Przysięgnij mi, że nie będziesz latał ani zbyt wysoko, ani zbyt szybko...

Ale jak mógł Zumbach spełnić zaklecia matki, kiedy jego instruktorzy lotnictwa kazali mu wykonywać karkołomne ćwiczenia właśnie tuż nad ziemią. A pewien pułkownik, również wymagający, co pełen lotniczej fantazji, żądał od niego i jego kolegów, by startowali, latali i lądowali w eskadrze, powiązani ciasno cienkim sznurkiem, upstrzonym chorągiewkami. Oczywiście sznurka nie wolno było zerwać, ani w powietrzu, ani na ziemi. Jakże ciężką szkołę musiał przejść Zumbach, by wreszcie zasłużyć sobie na odznakę pilota myśliwskiego! Przydała mu się ona przede wszystkim w Anglii.

Po ucieczce z Polski w 1939 roku, Zumbach dostał się do Francji, stąd do Anglii. W Wielkiej Brytanii, w Polish Squadron, pokazał dopiero, czego nauczył się w Polsce. W czasie pierwszych dwóch miesięcy bitwy o Anglię zestrzelił trzynaście samolotów niemieckich na pewno i pięć prawdopodobnie. Niebawem został odznaczony za zasługi wojenne orderem Battle of Britain with Bar oraz dwukrotnie orderem Distinguished Flying Cross and Bar. Został także wyróżniony legendarnym D.S.O. — Distinguished Service Order, nie mówiąc już o szeregu innych odznaczeniach bojowych.

— Czy pomyślał pan, John-

ny, co pan będzie robił po zakończeniu wojny? — spytał go jego dowódca, brytyjski generał, w momencie ogłoszenia demobilizacji.

Zumbach nie miał czasu, żeby o tym pomyśleć. Musiał improwizować. Oddał więc swe talenty na usługi ludzi, którzy ich wtedy najbardziej potrzebowali. Najczęściej byli to podejrzani biznesmeni, przemysłowcy i spekulanci. I w taki sposób zaczął szmuglować Zumbach fałszywe funty szterlingi z Francji do Anglii, szwajcarskie zegarki, złoto w sztabkach, papierysy z Tangu do Włoch. Nieraz także przemycił tajemniczych pasażerów, za co opłacano go z zagadkowych kont bankowych. Później kupował na zamówienie broń i samoloty. W 1967 roku bombardował ze swego B-26 z paszczą rekina, lotnisko Markadi, znajdujące się w rękach Nigeryjczyków, zapewniając w ten sposób tzw. secesjonistom z Biafry całkowite panowanie w powietrzu.

Jan Zumbach opowiada o swych fantastycznych przygodach z niezwykłym humorem. Szczególnie humorystyczne były jego zatargi „na tle strategicznym” z generałem Muke, analfabeta i byłym kucharzem, który został szefem wojsk Czombego. „Generalissimus” Muke żądał bezwzględnie, by Mister Brown zbombardował natychmiast... „most powietrzny”, który stworzono na zlecenie ONZ!

Czarujący w awanturnym życiu Mister Brown jest ów ogromny fason, z jakim i zrywał kłeski, których nieraz doznawał w wirze niecodziennych wyda-



Jan Zumbach, Obok Muke — „generał” — analfabeta

rzeń. Ot, choćby te sześć tysięcy drogich automatycznych zegarków, które w powietrzu, wskutek ruchu samolotu, zaczęły nagle iść!... „Cykanie” tych kilku tysięcy chronometrów usłyszały o kilometr każdy celnik, nawet głuchy jak pień, ale kto to mógł przewidzieć! Ponieważ nie można było zatrzymać ani samolotu, ani zegarków, więc wszystkie poszły do morza... Innym razem ten sam los spotkał tyśiące paczek papierosów, i tak dalej. Ale Mister Brown respektuje swoje zobowiązania i płaci za wszystkie stłuczone lustra...

Gdy spytano Jana Zumbacha, dlaczego w ogóle wybrał drogę życia, na której tak łatwo o guza i co mu pozostaje po latach ryzykownych przygód, dziś, kiedy ma 59 lat, odpowiedział mrużąc jedno oko: „Fantastyczna przyszłość!” I jednym haustem opróżnił potężną szklanicę whisky. Zrezygnował z życia w rewalucji w Południowej Ameryce i na premierę Zumbach z pewnością będzie zaproszony...

Oprac. JAN WŁODEK

Stolica na 677 akrach

Jeśliby za Londyn uważać City, to okazałoby się, iż stolica Wielkiej Brytanii jest niewielkie miasteczko, zamieszkałe przez 4.540 ludzi. W 1841 roku City liczyło 124.717 mieszkańców. Po stu latach doliczono się zaledwie 6.014. Obecnie liczba mieszkańców londyńskiego City stale się zmniejsza, po prostu odrobina ziarnka piasku, które zostały w dłoń; reszta przeciekła przez palce. Dlaczego? Otóż nikt się nad tym nie zastanawiał.

Jednakże organ samorządu tego miasteczka jest najbardziej dostojny i najbardziej hisnówny w świecie. Nosi nazwę Korporacji Londynu i sięga swymi początkami 88 roku naszej ery, kiedy to król Alfred Wielki obdarzył swego syna tytułem namiestnika Londynu.

City jest bardzo małe: jego powierzchnia wynosi 677 akrów, to jest mniej niż trzy kilometry kwadratowe, czyli, w przybliżeniu, zajmuje pięć setnych terytorium Londynu. Mimo to jest ono podzielone na 24 rejony administracyjne, z których każdy jest reprezentowany w radzie municypalnej poprzez którą Korporacja Londynu rządzi City. Co pewien czas dokonuje się wyboru Lorda-mera. Wielu londyńczyków twierdzi, iż cała ceremonia objęcia władzy przez lorda-mera jest wyglupem na dużą skalę, przedstawieniem dla dzieci i sklerotycznych starsuszków. Ponadto mówi się także, iż Korporacja Londynu nie może pod-

lać nawet tym nielicznym obywatelom, które na niej spoczywają, a cała rada municypalna w centrum Londynu, jest absolutnym idiotyzmem.

Dziś londyńska City przeżywa duże trudności z powodu braku „kadr” do pracy w „samorządzie”. Swego czasu liczbę członków zredukowano z 240 urzędników do 206, a następnie zmniejszono do 159.

Na terytorium City mieszka 4.540 osób, ale każdego ranka kieruje się doń około pół miliona londyńczyków. Nie kończące się ludzkie potoki płyną przez most London Bridge, wylewają się z podmiejskich pociągów, stacji metro, autobusów. Czasem przetoży się rolls-royce, ale o wiele częściej widać japońskie samochody. Spotyka się tutaj jeszcze dżentelmenów o wyglądzie żalobników, w tradycyjnych melonikach, ale o wiele częściej mężczyzn w miękkich kołnierzykach i sportowych ubraniach.

Polega nowojorskiej Wall Street nie budzi wątpliwości. Tokio idzie w przód siedmiomilowymi krokami. A mimo to londyńskie City zawsze pozostaje jednym z najważniejszych finansowych rynków świata. Na londyńskiej giełdzie pieniężnej notuje się 9500 tytułów papierów wartościowych, w tym 3000 angielskich. Wartość papierów, notowanych w Londynie jest równa wartości wszystkich papierów wartościowych, notowanych na giełdach Francji, Zachodnich Niemiec, Włoch, Holandii i Belgii razem wziętych. Do chwili przystąpienia Anglii do Wspólnego Rynku w dniu 1 stycznia 1973 roku, paryska giełda pieniężna była najsilniejsza w gronie „szóstki”. Obecnie, jeśli chodzi o skalę operacji finansowych, giełda londyńska pięciokrotnie przewyższa giełdę paryską. Ale to zaledwie jeden z aspektów ogromnej i różnorodnej finansowej działalności City.

Jest ona jednym ze światowych centrów ustalania ceny złota i jednym ze światowych rynków diamentów. Tutaj działa aż 750 kompanii transportu morskiego, których ogólny tonaż statków transportowych stanowi 85 procent całej handlowej floty Zachodu.

W 1958 roku największe w świecie towarzystwo ubezpieczeniowe Lloyd's porzuciło swą kolebkę przy Tower-

Street i usadowiło się na Leem-Street. Jednakże wiekowe tradycje pozostały w mocy. Dzwon, zdjęty z fregaty „Luthin”, która zatoniła u brzegów Włoch (i zawieszony w jednej z sal zarządu Lloyd'sa) nadal dzwoni, gdy lonie statek. Jednocześnie Eric Jung, który od 30 lat prowadził kronikę wypadków na morzach, wpisując je do specjalnej księgi wydarzeń, używa do tego gęsiego pióra. W ciągu roku zużywa ich około 150. Ostrzy je 80-letni starzec. Mówi się, iż jest on jedynym, żyjącym jeszcze człowiekiem na świecie, który posiada tę trudną sztukę.

U Lloyd'sa pracuje 20 tysięcy ludzi, a w sali konferencyjnej siedzi Lloyd's, największej w Zachodniej Europie z automatyczną klimatyzacją, zbiera się co roku od 3 do 4 tysięcy ludzi.

Ale i to jeszcze nie wszystko. Z 500 kompanii ubezpieczeniowych, działających na Wyspach Brytyjskich, 300 usadowiło się w City. Tutaj, na specjalnych giełdach ustala się ceny na zboże, akcje, kruszce. A przeróżnych biur maklerskich, firm eksportowo-importowych itp. instytucji — nie sposób zliczyć. Na City działa dwa tysiące banków, od najnowocześniejszych instytucji kredytowych, aż po stare firmy bankowe, które nie zmieniły ani swych siedzib, ani personelu od czasów Diekensa... Na każdy hektar



City przypada po dziesięć banków.

Dysharmonia pomiędzy produkcją przemysłową Anglii, a pozeją City już od dawna wzbudza poważny niepokój. Dlatego właśnie przystąpienie Wielkiej Brytanii do Wspólnego Rynku przyjęto w City z taką radością, jak nigdzie w całym Zjednoczonym Królestwie. Teraz bowiem City znów zyskuje bardziej

trwałą bazę, ponieważ jej finansowe kontakty ze światem osłabły wskutek politycznej inercji, wywołanej utratą pozycji kolonialnego imperium. Wodzirefe tej stolicy w stolicy sądzi, iż finansowe instytucje City otrzymają teraz funkcje, odpowiadające ich wadze i autorytetowi. Zabawne...

Oprac. J. CZECH

DZIEŃ W WOŁGOGRADZIE

Z Moskwy leciliśmy „Anem”, o którym słynny Tupolew, gdy go spytano o ocenę, powiedział, że wygląda jak krowa, ale może latać. Na dworcu lotniczym w Wołgogradzie, w chwili po otwarciu samolotu, poczuliśmy ogromną zmianę klimatu, było gorąco.

Oczekując na autobus, który ma nas zabrać do miasta, dostajemy, z jakim nakładem pracy i kosztów dba się tu o roślinność. Wszędzie widać ustawione „młynki” Saegera, które bez przerwy zraszają klomby i gazony.

Z lotniska, wygodnym autobusem pojechalśmy do Turbazy — pensjonatu turystycznego. Znajduje się on o 50 m od Wołgi. Brzeg rzeki jest stromy i wysoki, w niedalekiej przysz-

ści mają tu być wygodne schody, a wzdłuż rzeki bulwary.

Wołgę znalazłem z literatury i filmów radzieckich. Wyobrażałem ją sobie jako groźną, a nawet złowrogą rzekę. Spotkało mnie miłe rozczarowanie. Wołga toczyła swe wody leniwie, z dostojnym powagą, jak na tak wielką rzekę przystało.

Pierwsza wędrowka po mieście. Idziemy na słynny Kurhan Mamaja. Z daleka już widać górującą nad wszystkim, obrzy-

mią statuetkę kobiety z 15-metrowym mieczem w dłoni. Stała się ona symbolem tego miasta, jak warszawska Nike.

Ogromne wrażenie wywarły na mnie mury, wśród których widać drogę do Kurhanu Mamaja. Zbudowano je z zebrań ruin miasta, mury niezwykle, bo żywe, mówiące napisami i postaciami wkomponowanymi w nie dłonia artysty.

Wymowa tych napisów jest tak sugestywna, że przywraca w ludzkiej pamięci tamte dramatyczne dni, kiedy żołnierze pisali kredą i węgiem na murach: „Za ojczyznę”, „ani kroku w tył”, „bij faszystów”, „pamiętaj, że każdy nabój, to zabity hitlerowiec”, no i „no passaran”. A oprócz tego nazwiska i imiona żołnierzy.

Wrażenie potęgają efekty

dźwiękowe, nadawane z taśmy magnetofonowej, przez silne głośniki, rozmieszczone w różnych punktach. Słychać więc głosy żołnierzy, wycie lecących bomb i wybuchy, huk pękających granatów, serie z broni maszynowej. W to wszystko wplatają się dźwięki żołnierskiej harmonii i słowa piosenki.

Idziemy dalej, tam gdzie stoi wielka rotunda, wewnątrz której, jakby z głębi ziemi, wychodzi dion ludzka ze zniczem, w którym płonie wieczny ogień. Na wewnętrznych ścianach rotundy, na wielkich tablicach, wyrzeźbione w karnych szeregach nazwiska i stopnie poległych bohaterów Bitwy Stalingradzkiej. Wokół stoją posagowe, zamarte postacie gwardzistów. Wartę honorową pełnią tu na zmianę żołnierze wszystkich rodzajów broni. Każda zmiana

warty jest dla wielu osób ogromnym przeżyciem.

U stóp Kurhanu jest pomnik matki, pochylonej w bólesci nad zabitym synem, cała jej postać wyraża głęboką rozpacz i ból, jak to u matek na całym świecie. Wokół jest mały basenik z wodą, którego dno wyłożone jest kolorowymi kamkami. Tu właśnie narodził się bardzo piękny i wzruszający zwyczaj, obrzuty już tradycją. Wszyscy nowożeńcy przyjeżdżają tu wprost z pałacu ślubów, by złożyć wianuszek kwiatów i wejść schodami na szczyt Kurhanu. Wygląda to uroczyście i radośnie, jest w tym duża doza optymistycznej symboliki, triumfu życia nad śmiercią.

Jest też w Wołgogradzie plac Poległych Bohaterów, a na nim wiecznie płonący znicz. Zawsze jest tu morze świeżych kwia-

tów o bajecznych kolorach, (o które w tym suchym klimacie wcale nie tak łatwo). Na płycie pomnika stale trwa na posterunkach honorowa warta, którą pełnią 10—12-letni pionierzy, w sukienkach mundurach, z czerwonymi chustami na szyjach i z dumnie przewieszonymi przez pierś pepesami.

Wołgograd jest ciekawym miastem. Rozciąga się wzdłuż Wołgi na przestrzeni 70 kilometrów, a więc odległości są duże, ma jednak świetną komunikację miejską, której można pozazdrościć. Spotkanie z tym miastem zaskakuje, bo pamiętamy wszyscy jego bohaterskie zmagania. Z filmów znamy jego ruiny. A to miasto żyje, ale i nie zapomina o swoich poległych.

KAZIMIERZ SKIBICKI



Kobieta

Jest na Węgrzech wioska, w której nikt już nie mieszka, pozostały domy i ogrody — ludzie poszli do miasta. Ta opuszczona wioska — to symbol przeobrażeń gospodarczych i społecznych, znak uprzemysłowienia i urbanizacji kraju, prowadzącej do nasilających się zmian w życiu, zwłaszcza ludzi młodych, do miast — do pracy, nauki, a także rozrywki. Ten znany i u nas proces budzi uzasadniony niepokój. W filmie „MARTWY PEJZAŻ” Istvána Gaála, jednego z najwybitniejszych węgierskich reżyserów, ten społeczny problem jest jednak wyłącznie tematem, w którym autor sytuację zamknięcia i izolacji od normalnego trybu życia zbiorowości społecznej wykorzystuje dla niezwykle precyzyjnej analizy psychologicznej.

W opowiedzianej przez Gaála historii inny problem społeczno-obywatelski — głównie decydujący o głosie — ów gwałtowny proces zmian społecznych nie obejmuje pewnych podstawowych stosunków międzyludzkich. Gaál podjął problem, o którym dziś w dobie formalnej emancypacji kobiet, niezwykle rzadko się mówi. Pokazuje układ rodzinny, w którym położenie kobiety niewiele się zmieniło, pozostała ona nadal w pełni zależna od mężczyzny, on decyduje o życiu rodziny, choć ciężar pracy, wszelkie kłopoty wokół jej egzystencji ciężnie na kobiecie podzielił. Sprawa ta dobiega jakby z daleka, w szerszych wymiarach życia społecznego traktowana, mało dziś, pozornie, jest ważna. Tak wiele przecież świat rządzący przez mężczyzn, prawami przez nich ustanowionymi kobietom ofiarował.

Piękny film Istvána Gaála jest rzadkością z innego również powodu. Na przekór wszystkim modom, przynosi dawno niewidziany, wnikliwy i przejmujący portret kobiety, a czyni to z powagą, mądrością i ciepłem. Są to cechy, o których znów mężczyźni, oni przecież sztukę filmowego opowiadania głównie uprawiają, dawno zapomnieli.

Mając okazję zajrzeć do węgierskich ocen filmu Gaála, znalazłam w nich smutną satysfakcję: sądy recenzentów, oczywiście mężczyzn, którzy zarzucają reżyserowi, iż wymarzy „pejzaż” nie chłonie historyczno-społecznych treści znaczeniowych, że zabrakło w opowiedzianej historii autentycznych i pełnych akcentów dramatu społecznego. Panowie recenzenci mają do Gaála pretensje, że nie nakreślił reportażu o owej wymarłej wsi, w której pozostała jedna rodzina, reportażu, który byłby ważnym przyczynkiem do badań socjologicznych. Ani jeden z recenzentów nie zauważył, że István Gaál zrobił film na zupełnie inny temat.

W „Martwym pejzażu”, tak jak wcześniej w „Sokolach”, pokazuje Gaál ludzi, wyizolowanych, samotnych, którzy padają ofiarą układów, których nawet nie rozumieją. Nie są to jednak wyłącznie układy ogólnego życia społecznego, przeobrażeń, którym nie umiają się podporządkować. Do tragedii dochodzi jak gdyby poza świadomością i nawet wolą dwójga bohaterów tego filmu. Doprowadzają do niej układy sił wewnętrznych, praw natury, cech psychicznych danych kobiecie i mężczyźnie. Na tej płaszczyźnie rozważań zbliżył się Gaál do refleksji spotykanych głównie w twórczości Ingmara Bergmana. Nie dziwi też zatem, że cały klimat „Martwego pejzażu”, osadzony w tak intrygujących realiach życia społecznego i obyczajowego, przypomina nastroje bergmanowskich filmów. Jednakże o żadnej wtórności mówić tu nie można.

I tak, jak u Bergmana, znakomitość portretów ludzkich nie rozzerwalnie związana jest z osobowością aktorów zadanie do wypełniających, tak i w filmie Gaála bez Mari Töröcsik nie byłoby przejmującego prawda psychologii obrazu Juli. Nie ulega wątpliwości, że Mari Töröcsik należy do najwybitniejszych aktorek światowego kina, co nie musi nawet potwierdzać nagroda, uzyskana przez nią za rolę Juli na festiwalu w Karłowicach Warach. Mari Töröcsik nie gra, ona jest, wnosi do filmu swą osobowość, reprezentującą to, co jest wieczną, niemal archetypową, kobiecością, w której stapia się dojrzałość, mądrość, wdzięk, miękkość i piękno, które nie musi wyznaczać nieskazitelna, a więc często banalna uroda.

EWA NURCZYŃSKA

NIEZŁY TYDZIEŃ

Może nawet więcej niż niezły, ale różne doświadczenia piszącego te słowa skłaniają go do wstrzemięzliwości w pochwałach. Mowa oczywiście o doświadczeniach z programem telewizyjnym, bardzo himiecznym. W ubiegłym tygodniu był to jednak zestaw urozmaicony i ciekawy. Kilka zaś pozycji zasługuje na szczególną uwagę i wysoką ocenę.

Swoim zwyczajem, bo sądzę, że to głównie interesuje czytelników tygodnika społeczno-kulturalnego, chciałbym po ostatnim odcinku „sportowym” powrócić do teatru. Tym razem uda nam się pomówić o dwóch ostatnich spektaklach poniedziałkowego teatru TV.

MĄDREMU BIADA. Aleksander Gribojedow napisał swe najwybitniejsze dzieło dramatyczne w latach dwudziestych ubiegłego wieku. Od premiery w roku 1931 obok utworów Lermontowa i Puszkina stanowi ono najbardziej znamienny obraz swej epoki, epoki fermentu społecznego, który poprzedził wystąpienia dekabrystów. Bohater sztuki Czacki, człowiek myślący i postępowy nie może znaleźć miejsca w świecie archaicznym, zmurzałym, o absurdalnej hierarchii społecznej. Nie tylko jego miłość do kobiety z innego świata zostaje z góry skazana na niepowodzenie, ale cała jego egzystencja. Czacki jest człowiekiem, który prawo obywatelstwa może zdobyć dopiero niemal w wiek później.

„Mądemu biada” okazała się sztuką trudną w telewizyjnej realizacji. Reżyser August Kowalczyk uratował z niej to co najważniejsze, poetycki klimat, wyrazistość postaci, ale całość była niezborna, sceny zbiorowe wyszły sztucznie i bez poletu. Utalentowany aktor Andrzej Sewerny w roli Czackiego zaprezentował się bardzo dobrze. Pozostali aktorzy wypadli

dość poprawnie, czy jak kto woli, tylko poprawnie. Dotyczy to Jolanty Wollejko i Bronisława Pawlika, który zwykle doskonale radzi sobie nawet z trudniejszymi rolami. Na wyróżnienie zasługuje jeszcze Anna Nehrebecka, która była Liżą pełną wdzięku, urody, grała swobodnie w stylu epoki. Szkoda, że w ostatnim czasie nie mogliśmy jej zobaczyć w większej roli.

BIALA ZARAZA. Kilka tygodni po „Mące” drugie spotkanie z twórczością Karela Capka, w wykonaniu łódzkich aktorów i realizatorów, w reżyserii Laco Adamiaka. Napisany w roku 1937 dramat jest głosem pacyfistów i humanistów. Był to głos z kraju szczególnie zagrożonego, pierwszej ofiary hitleryzmu. Akcja sztuki jest przejmująco prosta. W Europie wybuchła zaraza, zbierająca obfite żniwo, jak średniowieczna epidemia dżumy. Lekarze są bezradni. Każdy człowiek, któremu na ciele pokaże się biała plamka skazany jest na śmierć w ciągu sześciu tygodni. Jedyne w dyktatorsko rządzonej przez Marszałka kraju dr Galen, lekarz biedoty, odkrywa lek całkowicie skuteczny. Lekarz nienawidzi wojny i swe odkrycie chce wykorzystać do całkowitego wyeliminowania jej groźby na zawsze. Odmawia więc leczenia ludzi bogatych, bo wie, że ci decydują o losach kraju i przygotowują, a wręcz doprowadzają do wybuchu nowej wojny. Wbrew etyce lekarskiej i własnemu sumieniu jest w swym postępowaniu nieprzejednany, nawet pod groźbą represji. Zaraza jednak nie omija i dyktatorów i Marszałek zagrożony śmiercią zgadza się na warunki dr Galena. Jest już jednak za późno. Podążającego do dyktatora lekarza zabija sfanatyzowany tłum podczas manifestacji na rzecz wojny.

Łódzki teatr TV może przedstawienie zapisać na konto swych sukcesów. Aktyrzy, z wyjątkiem pomniejszych ról, które były nie najlepiej podane, spili się dobrze. Marek Bargielowski w roli lekarza-pacyfisty pokazał aktorstwo

TV-TEATR

wysokiej klasy. Potwierdził z przekonaniem, że otrzymany niedawno „Srebrny pierścień” za rolę Hamleta, przyznany został aktorowi o dużych możliwościach. Jego Galen był człowiekiem nieśmiałym, a jednocześnie odważnym, wrażliwym na ludzkie cierpienie, ale nieublaganym i konsekwentnym, kiedy zdecydował się zrealizować swoją ideę. Andrzej Głockowski w roli profesora-radcy i Kazimierz Iwiński w roli Marszałka wypadli bardzo dobrze, przekonywająco i wyraziście wyeksponowali swoje racje.

Było to w sumie przedstawienie aktorsko udane, bo mógłbym wymienić jeszcze kilka pomniejszych ról, lecz reżysero zostało niedopracowane do końca. Raziły szczegóły np. rozgrywane na niewidocznym planie manifestacje wojenne, które zamiast potęgować nastroj grozy brzmiały dość groteskowo. Również psyły dobre wrażenie całości epizodyczne postaci, podające swe kwestie, jakby zupełnie bez przygotowania.

Przypomnienie jednej z najlepszych sztuk Karela Capka ma swój sens, mimo iż historia i życie nie potwierdziły jego idei i przyjmujemy je sceptycznie, bogatsi o doświadczenia ostatniej wojny. Zarliwie zaangażowanie w obronie ludzkiej egzystencji, mimo indywidualistycznych wzorców rozważań — ma i dzisiaj swą głęboko humanistyczną wymowę.

JAROSŁAW TARNO

Sztuka fotograficzna ma to do siebie, że jej granice rozciągają się stale tyle latwo, co złudnie. Często więc są wątpliwości, czy mamy do czynienia z fotografią artystyczną, czy ze sprawną fotografią zawodową. Muszę przyznać, że sporo tych wątpliwości wyniosłem również z wystawy wytrawnego — bądź co bądź fotografika, jakim jest Andrzej Pukaczewski.

Pierwsza indywidualna wystawa Pukaczewskiego stała się konglomeratem dobrej roboty typu pogłębionego reportażu, syntetycznego widzenia artystycznego i jednocześnie pewnych elementów banału i nijakości. Pukaczewski zaprojektował

FOTOGRAFIKA

autor fotkań ładnych buzi w banalnych pozach. Sądzę, że dla kontrpunktu wystarczylaby w tej kompozycji jedn wyrazista twarz człowieka. A może nawet twarz zliciejącej lalki? Może zbliżenie czaszki i już tylko same żelazne „oblicza”? Byłaby to całość o wiele bardziej spójna i zamknięta.

W cyklu „Proporcje” — fotograficznie ładnym i estetycznie bez zarzutu, zawarł Pukaczewski kilka świetnych ujęć drobnej ludzkiej sylwetki, pozostającej w dysproporcji z wielkimi statycznymi mołochami nieoży-



Z cyklu: ASOCJACJE — „SILA”

wał wystawę wedle logicznego systemu, układając fotogramy w cykle, stanowiące o idei kompozycji. Raz dawało to efekty znakomite, innym razem — słabsze. Można więc za układ eksponowanego cyklu „Twarze” mieć do autora pretensje a może i żal, że to nie został tam lepiej wykorzystany bardzo dobry pomysł. Pukaczewski pokusił się bowiem o obfotografowanie jakichś fragmentów żelastwa, złomu, metalowych uchwyty, których rytmy ukojarzą się odległe z rysami twarzy. W tej penetracji obiektów, zdawałoby się, całkowicie nieartystycznych i brzydkich, pokazał Pukaczewski instykt fotografika, ale brakło mu konsekwencji. Mam więc pretensje, że te fotografie, poprzetykał

wionej materii: masywów skalnych, tratw spławianych na rzece, ogromnych słupów wysokiego napięcia. Fotogramy te, bliższe są klasycznej fotografii artystycznej, niż współczesny poszukiwaniom nowym środkom wyrazu. Jest to może zarzut niepełny, ale w cyklu tym zabrakło jednego rysu — mianowicie indywidualności.

Takim autentyzmem oznaczył się natomiast bardzo spójny i artystycznie pełny cykl „Asocjacje”. Opierał się na obiektach czepianych z przyrody a właściwie z su, drzew, konarów i korzeni, zbudował fotografik raforyczną historię życia i zagłady. Zaopatrując fotogramy cyklu w literatę tytuły: „Życie”, „Sila”, „Anowanie”, „Kryzys”, „A-

SZALEŃSTWO CZY METODA?

Sztuka Erica Westphala stanowi na beznadziejnie szarym tle paryskiego teatru bardzo radosną niespodziankę. Autor zadał sobie trud znalezienia oryginalnego tematu, stworzył postacie z krwi i kości, kazał im mówić językiem teatralnym, bardzo pewnym, niekonwen-

cjonalnym, wystarczająco bogatym, byśmy swobodnie mogli interpretować treść wedle naszej własnej wyobraźni — pisano z okazji paryskiej prapremiery sztuki „Te twoje chmury” (Odybła się ona w styczniu 1971 roku). Faktycznie — przynajmniej trze-



EWA — Grażyna Marzec i AGNIESZKA — Danuta Kłopotka
Fot. G. Wyszomirska

biorców niezwykłością i niesamowitością fabuły. Jest w niej po trosze coś z elementów sensacyjnej powieści kryminalnej, pełnego grozy „dreszczowca”, teatru okrucieństwa i rozprawy o psychopatach. Wszystkie te „dziwne” wydarzenia rozgrywają się jednak w jak najbardziej normalnych warunkach i prawdopodobnych okolicznościach; z tą tylko różnicą, że nie są jednoznaczne. Sens utworu tłumaczyć można bowiem bardzo różnie.

Reżyser łódzkiej inscenizacji — Tadeusz Pliszkievicz (jest to jego praca dyplomowa) nie szukał w tej sztuce wieloznaczności i symboli. W jego spektaklu to, co dzieje się na scenie wydaje się możliwe. W tym też kierunku poprowadził T. Pliszkievicz aktorów. Głębszy sens takiego „odczytania” sztuki polega, chyba, na chęci uświadomienia odbiorcom, iż w naszych czasach wszystko może się zdarzyć, że w codziennym często przenikają fakty wręcz niewiarygodne, a udane szaleństwo często staje się metodą i celem dla podporządkowania sobie innych.

Autor sztuki bardzo wnikliwie i starannie naszkicował postacie czwórki bohaterów sztuki różniących i obdarzając je w wiele indywidualnych, często zaskakujących cech. Stanowią one dzięki temu niewątpliwie atrakcyjny materiał dla aktorów. Łódzcy wykonawcy wykorzystali w dużej mierze możliwości tkwiące w poszczególnych rolach.

Przed wszystkim — bogata, skomplikowana i przez swą wieloznaczność bardzo trud-

na rola Ewy. Łatwo tu bowiem przesadzić udając szaloną, młotać się po scenie, krzyknąć a nawet rwać włosy z głowy. Grażyna Marzec umiejętnie uniknęła tych wszelkich zasadzek i niebezpieczeństw. Stworzyła postać normalnej, inteligentnej, przebiegłej i sprytniej dziewczyny. Była bezkompromisową despotką z niewinnym uśmiechem i uroczą twarzą, która małej dziewczynki. Dominujący obłęd pomagał jej w rozwijaniu instyktu władzy, przemocy, narzucaniu wszystkim swojej woli i realizacji niebezpiecznych dla najbliższego otoczenia planów. Była zdecydowanie zła choć sama nie zdawała sobie sprawy ze szkodliwości swych czynów. Była zła ciękawością i nieświadomością dziecka, które urywa swej ulubionej lalce głowę po to, aby natychmiast potem wybuchną pełnym przerażenia świadomości odbiorcom, iż w naszych czasach wszystko może się zdarzyć, że w codziennym często przenikają fakty wręcz niewiarygodne, a udane szaleństwo często staje się metodą i celem dla podporządkowania sobie innych.

Danuta Kłopotka w roli Agnieszki — siostry Ewy nie może zdecydować się, jak potraktować tę niezbyt wdzięczną rolę, ale już w następnych scenach jej nerwowość przetrząsa ją w niepokój i matczyną troskliwość w stosunku do młodszej, „obłąkanej” siostry. Potem dochodzi jeszcze tajona, podświadoma nienawiść i bezsilny żal z powodu zmarnowanego życia, rozpaczliwa walka z własną bezradnością i zalamaniem. Agnieszka w miarę rozwoju akcji okazuje się nie mniej szalona aniżeli jej siostra, aż do spotęgowania i skondensowania wszystkiego w scenie ostatniej.

Kazimierz Iwiński, dzięki swej bogatej indywidualności

TEATR

ści aktorskiej potrafił utrwnić i uatrakcyjnić postać Akwizytora, czyniąc zeń przychytzonego spryciarza i budzącego bynajmniej, pomimo tego co go spotkało w domu siostr, sympatii widowni. Nieco gorzej w porównaniu z innymi wypadł Bohdan Wróblewski, widać było że zdecydowanie nie czuł się dobrze w roli opiekuna i przyjąca rodziny — Markovitcha.

Scenografia Ewy Soboltowej świetnie współgrała z całością widowiska, a zawieszony nad sufitem rój wypieczonych ptaków i inne stwory zdołające ściany przywoływały na myśl nastroj pełen dziwności i grozy przypominający duszną atmosferę filmu „Ptaki” Hitchcocka.

Sztuka „Te twoje chmury” stanowi bardzo udaną zapowiedź przyszłej współpracy teatru Jaracza z Wydziałem Reżyserkim warszawskiej PWST, chodzi o udostępnianie co pewien czas Małej Sceny oraz zespołu aktorskiego do realizacji sztuk dyplomowych młodym reżyserom.

MIECZYSLAWA WALCZAK

Teatr Im. Stefana Jaracza — Mała Sala. Eric Westphal — „Te twoje chmury”, prapremiera polska. Przekład — Piotr Szymanowski. Reżyseria — Tadeusz Pliszkievicz (praca dyplomowa Wydział Reżyserii PWST w Warszawie). Scenografia — Ewa Soboltowa. Muzyka — Piotr Hertel. Premiera prasowa — 7. III. 1973 r.

sja", „Ekspansja", „Zniszczenie" i „Kres", przeprowadził Pukaczewski coś w rodzaju parabol artystycznej. Nie obawiał się przy tym pewnych zapożyczeń fotograficznych i trikowych, jeśli potrzebne mu one były do stworzenia silniejszej wyrazistości całego zwiela. Wszystkie fotografie tego cyklu posiadają kompozycję zwartą, silnie skonstruowaną w czerniach i bielach, ekspresyjną i udrammatyzowaną. Cykl „Asocjacje" może więc stanowić przykład dobrze przemyślanej w szczegółach fotografii artystycznej. Podkreślam tu element planowego przemyślenia, bowiem, nie każdy, kto się para fotografią, zastanawia się nad tym co i dlaczego fotografuje; wystarczy, że jakiś obiekt mu się po prostu spodoba a resztę pozostawia już środkom technicznym i odpowiedniej obróbce. Tymczasem fotografika artystyczna — ta poważnie rozumiana — musi opierać się na podobnych przemyśleniach jak obraz malarski. W sztuce fotograficznej Pukaczewskiego jest to widoczne i zrozumiałe.

I jeszcze nad jedną pracą Pukaczewskiego warto się chwilę dłużej zatrzymać. W wielowariantowej kompozycji „9 razy kwadrat", będącej właściwie przejrzystym repertażem z treningu skoczka o tyczce, zademonstrował fotografik umiejętność syntetycznego spojrzenia na ruch. I choć ruch ten pokazany został w dziewięciu różnych wariantach skoku — natychmiast, niejako prawem powidoku, zobaczyliśmy jedną syntetyczną kompozycję skaczącego sportowca. Kompozycja ta spełniła rolę repertażu, będąc jednocześnie propozycją artystyczną.

Wystawa Andrzeja Pukaczewskiego była więc prezentacją dojrzałą, choć nie pozbawioną rozwiązań słabszych i niepełnych. Nie przeszkadza to przecież widzieć w autorze artystę świadomego własnych poszukiwań, co w fotografii naprawdę nie jest sprawą łatwą.

GUSTAW ROMANOWSKI

§

Ta historyjka ma ilustrować bezczelność naszego gatunku. No, może zaraz nie całego gatunku, ale niektórych jego pojedynczych egzemplarzy. Cóż, bezczelność jest rzeczą ludzką i rywalizacja w tej dziedzinie panuje ogromna. Nielatwo jest dziś zostać najbezczelniejszym z ludzi. Mimo tak dużej konkurencji wielu jednak ciągle startuje po laury w tej dyscyplinie. Wiadomo — bezczelni.

Jeśli idzie natomiast o niejakiemu Wiesława Fiba-

BEZCZALSTWO

cha z Wronek, pow. szamotulski, to nawet trudno nazwać go bezczelnym. W tym wypadku należałoby mówić już o bezczalstwie. Prawie pół roku leżono go w szpitalu im. Barlickiego, lecz ciągle bez skutku. Co mu się trochę pęknięta szczęka zrosła, ponownie ją sobie demontował. Widocznie pobyt w szpitalu wydawał mu się tak pełen uroku, że nawet za cenę dużego bólu nie chciał się wyrzec tego ulubionego przez siebie miejsca.

W końcu lekarze unieruchomili mu szczękę, polecili karmić go płynem i wyleczyli pacjenta wbrew jego woli. Wiesław Fibach ocenił to jako wielkie święństwo wobec jego osoby. Kiedy wrócił do swej celi we Wronkach, pow. szamotulski, na długo, bardzo długoterminowy pobyt, coś tak około dwadzieścia lat, po-

stanowił szpital zaskarżyć, zemścić się na lekarzach, którzy mu już nieraz za skórę zaleźli. Operowano go dokładnie dwadzieścia razy, wyjmując za każdym razem mu z brzucha tzw. choinkę. Tylko w jednym wypadku zamiast „choinki" — polknął cały kabał od kibla. Wszystko z nudów i monotonii, proszę Wysokiego Sądu.

Tedy zwrócił się Wiesław Fibach do Sądu Powiatowego wydziału cywilny z następującymi słowami:

„Oskarżam i wzywam do odszkodowania fizyczno-moralnego Klinikę im. dra Barlickiego w Łodzi, oddział szcękowo-twarzowy o pozostale do chwili obecnej zniekształcenia dolnej szczęki prawej strony, czyli żuchwy. Zostałem przywieziony ze szpitala więziennego wasyście oddziałowego i siostry oddziałowej do

Kliniki celem zabiegu operacyjnego. Nadmieniam, że ów oddziałowy i siostra uprzedzili profesora, który miał mi dokonywać zabiegu, że jestem bandytą, złodziejem i chorym umysłowo człowiekiem i zachodzi obawa ucieczki. Stwierdzam kategorycznie, że było to fałszywe i niemoralne uprzedzenie w stosunku do mnie. Profesor kazał mi w tej sytuacji złożyć szynę Weberra i nakazał dietę płynną. Zachodzi wobec tego następujące pytanie: dlaczego ów profesor nakazał utrzymać dietę płynną, jeśli szczęka jest zrosnięta i zgrzyt prawidłowy. Odpowiedź jest prosta. Zgrzyt nie mógł być prawidłowy, ponieważ nie miałem zębów, a co się zaś tyczy szczęki, to nie mogła być ona absolutnie zrosnięta, ponieważ nakazał pan profesor utrzymać dietę płynną.

Cały sfingowany okres leczenia trwał około 5 miesięcy i odbywał się pod dyktando władz więziennych, na moją oczywiście niekorzyść.

Wnoszę przeto o odszkodowanie w wysokości 30 tysięcy złotych.

Prawo jest prawem i Sąd tę skargę był zobowiązany rozpatrzyć zgodnie z przepisami. Oczywiście rzecz umorzono i Wiesław Fibach spodziewanego odszkodowania nie dostał. Weale mu zresztą o to nie chodziło, chciał się tylko trochę przewietrzyć, rozerwać i dlatego prawdopodobnie wniósł sprawę do Sądu. Widocznie we Wronkach więźniowie pędzą zbyt monotony tryb życia. Miejsceowości faktycznie nie jest zbyt taka zabawna.

Sprawy tego typu niestety dość często zamulają wokandy. Do Sądu wnoszą spodziewanego odszkodowania różni bumelanci z wolności. Nie przychodzi taki do pracy, a jeszcze ma później czelność skarżyć zakład o wypłatę trzynastego pensji. Cierpi na tym i powaga Sądu i tracą cenny czas pracownicy wymiaru sprawiedliwości.

KAROL BADZIAK



Janusz Mendychowski — „OCZEKIWANIE"
Zdjęcie nagrodzone złotym medalem na XXIX Międzynarodowej Wystawie Fotografiki w Sao Paulo (Brazylia).

POWIĘKSZENIA

W PABIANICACH NIE WIEDZĄ?

W numerze 7 „Zycia Pabianic" znaleźliśmy taką oto informację: „W ubiegłą środę obradowała nad tymi tematami Egzekutywa KM PZPR z udziałem I sekretarza KW PZPR B. Stusio, przy współudziale członków Prezydium MRN". A myśmy czytali niedawno w „Głosie Robotniczym", że I sekretarzem KW PZPR został ponownie wybrany tow. Jerzy Muszyński.

TRUDNE PISANIE?

W artykule „Trudne przyszłości" zamieszczonego na łamach 13 numeru „Motoru" czytamy: „I dobrze wiedz, jakie jest np. zapotrzebowanie rynku na samochody, i że niestety ceny giełdowe tych pojazdów znowu rosną". — Jakies, takie — trudne... pisanie.

WYWIAD Z... ANONIMEM

W 65 numerze „Głosu Robotniczego" znaleźliśmy kolejny wywiad, z kolejną gwiazdą piosenki. I można by przejść nad tym do porządku dziennego, bo rewelacji we wspomnianym wywiadzie nie doszukaliśmy się, gdyby nie fakt, iż był to wywiad z... anonimem.

Co prawda obok wywiadu zamieszczono zdjęcie gwiazdki, lecz my nie jesteśmy aż tak biegli w znajomości osób z tej sfery, byśmy mogli domyślić się choćby o kogo tu chodził, skoro autor nie podał imienia i nazwiska swojej rozmówczyni.

REWELACYJNE TYTUŁY

W numerze 9 „Ziemi Łęczyckiej" znaleźliśmy rewelacyjne tytuły artykułów: „Nie można grać tylko jednym palcem" — Czyżby? I drugi odkrywcy — „ORMO czuwa!" — Kto by przypuszczał?

Pod redakcją
ZBIGNIEWA KOPALCYKA

CÉSAR i CHLEB

— Mam dystans wobec mojej głowy. Gdy pracuję jest ona takim samym obiektem jak każdy inny — powiedział César. Kim jest César? Z jakiej okazji to powiedział? Nie ma on nic wspólnego z władcami starożytnego Rzymu. Jest wybitnym artystą naszych czasów. Uważa się za rzeźbiarza i obecnie tak jest traktowany przez wszystkich, choć jeszcze kilkanaście, może nawet kilka lat temu budzili się wątpliwości, czy można nazwać rzeźbiarzem artystę, który posługuje się aparatem do spawania, wiadrem z płynnym tworzywem sztucznym, a obecnie ciastem i piecem piekarniczym.

Ostatnio César wystawił w paryskiej Galerii Creuzevaula czterdzieści swych dzieł. A wszystko to są wizerunki jego własnej głowy. Portrety te wykonane są z brązu, plastyku i chleba.

Gdyby chodziło o kogo innego, a nie o Césara, może ten ostatni pomysł rzeźbienia w cieście piekarniczym uznać by należało jedynie za dziwactwo. Ale César jest twórcą z prawdziwego zdarzenia, a jego cała sztuka wyrosła właśnie na nieoczekiwanych pomysłach.

Nieź to śmiechu początkowo wywołał jego, słynny już dziś

„Kieluk". Galeria sztuki Claude Bernarda w Paryżu ogłosiła w roku 1965 konkurs na rzeźbę o tematyce „Reka". César przysłał dość duży odlew swego kieluka, z różowo czerwonego sztucznego tworzywa. Przez jakiś czas cały Paryż miał uciechę. Pokłiwano sobie z césarowego palca. A dziś ta sama rzeźba reprodukowana wielokrotnie w różnych rozmiarach (największa ma 2 m wysokości) i z rozmaitego materiału, jak brąz, gips, plastik, uchodzi za jedno z wybitniejszych dzieł tego artysty.

César Baldaccini, popularnie zwany Césarem, jest potomkiem Toskańczyków, lecz urodził się w roku 1921 w Marsylii w dzielnicy Belle de Mai, zamieszkałej głównie przez Włochów i Hiszpanów. Jego ojciec był początkowo bednarzem, później kupcem win, wreszcie właścicielem bistra. To właśnie w tym bistrze ktoś ze stałych bywalców zauważył Césara rysującego, przyjrzał się i poradził ojcu, by chłopca kształcił artystycznie. Ale nim mały César po ukończeniu szkoły podstawowej rozpoczął naukę w dziedzinie sztuki, upłynęło trzy lata, podczas których pracował u pewnego marsylijskiego handlarza winem. Roznosił butelki z tym napo-

jem klientom. Z tamtych to czasów artysta ma skrzywienie kręgosłupa.

W roku 1936 César wstępuje do marsylijskiej szkoły sztuk pięknych. W sześć lat później jest już w Paryżu. Wstępuje do Ecole des Beaux-Arts, gdzie dziś jest profesorem. Studuje bardzo długo. Przedłuża pobyt w uczelni celowo, ze względu na liczne przywileje studenckie, a zwłaszcza tanią stolówkę. Zarabiał na życie jako pomywacz talerzy w restauracji, przez jakiś czas też malarzem pokojowym, wreszcie otrzymuje pracę już w swoim zawodzie, w jednym z artystycznych atelier.

Początkowo uważa się za malarza. Ale od 1948 roku postanawia zostać rzeźbiarzem. Jakże wybrać tworzywo? W kamieniu i glinie pracować nie chce. Jest to jego protest przeciw tradycjom Szkoły Sztuk Pięknych. Jego tworzywem będzie żelazo, postanawia. Żelazo jest darmo. Żelazo jest wszędzie. Kupy żelastwa można znaleźć w Paryżu i poza Paryżem. I oto pierwsze rzeźby Césara, choć trudno je właściwie było nazwać wtedy rzeźbami, powstają już w momencie znajdowania i manipulowania złomem. Od samego początku César wychodzi nie od idei swego dzieła rzeźbiarskiego, ale od właściwości tworzywa. Jakoś i wygląd tworzywa narzucają mu artystyczną wizję. Kiedyś przypadkiem trafia do fabryki, gdzie widzi sterty starego żelastwa. Dostaje pozwolenie robienia z tym co tylko zechce. Bierze aparat do spawania i robi z tego porzuconego żelastwa twory najrozmaitsze: ryby, chrabąszcze, pchły, skorupiony, nietoperze, ziemne i morskie ssaki, ptaki.

Wystawia te swoje twory z żelaza po raz pierwszy w roku

1954. Robi się wrzawa. Obródcy tzw. czystej sztuki grzmia:

— Ten złom winien się znaleźć na śmietniku, nie w sali wystawowej.

Wkrótce jednak César znajduje nie tylko zwolenników, ale entuzjastów i to coraz liczniejszych. W roku 1960 nowe zaskoczenie. Na Salonie Majowym wystawia swoje „kompresje". Są to trzy sprasowane na prostopadłości, karoserie starych samochodów. Po sprasowaniu wraków samochodów, motocykli i rowerów (wzbogaćwszy się César prasował nowe motocykle), przychodził mu do głowy pomysł prasowania biżuterii. „Rzeźby do noszenia", sculptures portables, nazywa César te swoje nowe kompresje, zachwycając się cudowną właściwością szlachetnych metali, które nie kruszą się podczas sprasowywania, lecz gną się, wyciągają i rozciągają w dziwaczne i zachwycające formy.

Nie ustaje w poszukiwaniu nowego tworzywa. Kiedyś, gdy płynię łódką z przyjaciółmi, widzi, jak jeden z nich dla zabawy puszcza na wodę podgrzaną, płynną masę ze sztucznego tworzywa, ta zaś stygnąc układa się w zaskakujące kształty. Dla Césara rozpoczęło się teraz nowy okres twórczości — rzeźby z poliuretanów. Podgrzane kolorowe masy plastyczne rozlewa, nakierowując strumień masy, tak by tworzyły się fantastyczne, lśniące, barwne rzeźby, trwałe i blizujące po zastygnięciu. Nazywa je „ekspansjami". I oto odbywają się widowiska, gdy César w Brukseli, Rzymie, Monachium i Londynie tworzy swoje ekspansje na oczach zgromadzonej publiczności. Pozwala potem ludziom na zabranie z sobą na pamiątkę kawałek takiej rzeźby. Widzowie

rzucają się ku ekspansjom odcinając, odszarpując czy odrabując kawałki tych rzeźb z masy plastycznej. Inne ekspansje, czasem olbrzymich rozmiarów, przeznaczone na wystawy, tworzy w swej pracowni.

— To, co mnie interesuje — powiada César — to swolista właściwość tworzywa. Istotnym jest piękno materiału, a wszystkie są cenne...

Ostatnio pracował przy piecu słynnego, paryskiego mistrza piekarniczego Polaine'a, który nieczemu się nie dziwi, bowiem wypiekał kiedyś dla Salvadora Dali serię mebli do jedzenia. Pomagają Césarowi dwaj synowie piekarza. Powiedzieli oni przedstawicielowi tygodnika „L'Express":

— César rozumie chleb. Gdy kładzie do pieca ciasto, chce zgłębić jego reakcję.

Głowy z chleba, modulowane na swą własną podobiznę, César powleka specjalną szklaną masą i wkłada jeszcze raz do pieca. W ten sposób nadaje tym oryginalnym chlebom trwałość.

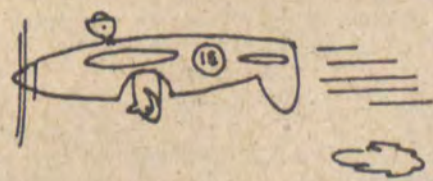
— Czy to tylko zabawa? — pyta recenzent „L'Expressu" i odpowiada:

— Być może. Cała jednak sztuka Césara jest przecież jedynie manipulowaniem z coraz to nowym tworzywem.

A co César mówi o swej sztuce? Powiedział kiedyś:

— Rzeźbiarstwo jest dla mnie jak łowienie ryb w stawie. Nigdy nie wiem na pewno czy coś chwyci... Zawsze spodziewam się, że złapię coraz to większą rybę. Należy pilnie uważać, obserwując czy bierze... Coś takiego jest i z rzeźbieniem... Improvizuję z tworzywem... I mam nadzieję...

JANUSZ SKOSZKIEWICZ



PRZECIEŻNOŚĆ

FRONT MORGES

Niewielkie szwajcarskie miasteczko położone nad brzegiem jeziora lemańskiego. Tu, w Morges, w willi Riond Bosson, osiadł Ignacy Jan Paderewski, artysta i działacz polityczny, co powszechnie uważano wówczas za dobrowolną emigrację; przyjął stanowisko opozycyjne w stosunku do rządzącej w kraju sanacji, nie zamierzał rezygnować z działalności politycznej, nie przewidując pewnie, jak wiele jeszcze będzie miał w tej dziedzinie do zrobienia. To tutaj właśnie, w lutym 1936 r., w domu wielkiego artysty zebrała się grupa wybitnych polskich działaczy politycznych, którzy postanowili zmontować blok ugrupowań antysanacyjnych, który przeciwstawiłby się tak wewnętrznej, jak przede wszystkim zagranicznej polityce obozu rządzącego.

Obok I. J. Paderewskiego, potronującego nowemu ugrupowaniu, najczynniejszą postacią był w nim generał Władysław Sikorski, którego stosunki z ludźmi sprawują-

cymi ster władzy w Polsce ustawicznie się pogarszały. Jeszcze w pierwszej połowie lat trzydziestych, po nawiązaniu kontaktu z Wincentym Witosem, zamyślał W. Sikorski o utworzeniu tajnej organizacji o charakterze nadzycznym w stosunku do politycznych ugrupowań zorientowanych opozycyjnie w stosunku do sanacji.

Sprawa powołania do życia „Związku Odrodzenia Rzeczypospolitej” nie jest do dzisiaj dokładnie wyjaśniona, ale ślady takich zamierzeń zachowały się w politycznej korespondencji I. J. Paderewskiego i W. Sikorskiego. Celem projektowanej organizacji było „wydobycie Ojczyzny z położenia, w jakie została wtrącona”, co wymagało — przytaczam słowa W. Sikorskiego — „najściślejszego zespolenia wysiłków ludzi różnych przekonań, obozów i stronnictw politycznych zarówno w okresie likwidacji dotychczasowego stanu rzeczy, jak przy tworzeniu nowego”. Z tych idei wyrósł po kilku la-

tach Front Morges, jako ugrupowanie o charakterze antysanacyjnym, bazujące na siłach centrowych, przeciwstawiające wysuwanemu przez lewicę programowi szerokiego frontu ludowego koncepcję integracji narodowej w duchu solidarystycznym, wymierzona ostro przeciwko tendencjom autorytarnym, jakie reprezentował obóz sanacyjny.

Front Morges liczył wielu wybitnych przywódców politycznych, należących do różnych stronnictw, z jego ducha zrodziło się Stronnictwo Pracy, ale mimo pewnych sukcesów nigdy nie zdołał skupić wokół siebie szerszych kręgów społecznych. Jak podkreśla autor książki o „Frontie Morges w okresie II Rzeczypospolitej” Henryk Przybylski (PWN 1972) tendencje solidarystyczne, antykomunistyczne a niejednokrotnie ogólnie antylewicowe, jakie istniały w tym nurcie, niekonsekwencje taktyki politycznej, chwiejność stanowiska, wreszcie „parcie do konsolidacji z „narodową” — już wtedy faszystowską — prawicą”, wiara w zakulisowe kombinacje polityczne „bez angażowania mas w otwartą walkę”, złożyły się na niepowodzenie pierwotnej koncepcji politycznej Frontu Morges i na to, że sukcesy, jakie odniesiono, były połowiczne, uzyskane w związku z osłabieniem lewicy oraz uświadomianiem sobie przez spo-

łeczność wzrostu zagrożenia zewnętrznego. Słusznie podkreśla dziś historyk, że Front Morges nie był zdolny do zrealizowania „narodowej konsolidacji”, do rozwiązania podstawowych konfliktów, jakie rozdzierały organizm państwowy II Rzeczypospolitej.

Zgodzić się wypada z H. Przybylskim, że pomimo to wszystko orientacja polityczna Frontu Morges w sprawach międzynarodowych zasługuje na baczną uwagę. „W dorobku polskiej myśli politycznej — kontynuuje historyk — Front Morges zostanie jako jeden z najciekawszych programów ratunku Polski przed klęską podboju niemieckiego, który morzowcy przewidywali, przeciwko któremu chcieli gromadzić wszystkie siły”. To prawda, ale możemy zgłosić zastrzeżenia do dalszych słów historyka, tych, w których określa on ten program jako konkretny i realistyczny. Wydaje się, że właśnie to, czego mu brakuje, to konkretności, oparcia o jasno zarysowaną podstawę społeczną i realizmu. Przecież późniejsze wypadki uprawniają nas chyba do uznania, że orientowanie polityki międzynarodowej na Francję nie było wówczas posunięciem zbyt realistycznym.

Front Morges, mimo wszystkich niepowodzeń, ma w swej niedługiej historii wie-

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



le kart chlubnych, które aczkolwiek nie przekreślają jego pomyłek, rzutują jednak na ogólną ocenę. Stosunek do Anschlussu Austrii, stosunek do układu monachijskiego, a wreszcie postawy Francji i Wielkiej Bry-

tanii wobec Czechosłowacji, to tylko niektóre świadectwa politycznej trzeźwości morzowców, tej trzeźwości, która nieraz — nie tylko ich zresztą — miała zawodzić.

LEKTOR

Zdarzeni A • I • Zwierzeni A

APODYKTYCZNOŚĆ

Właściwie nie wiadomo dokładnie, czy apodyktyczne sądy bardziej powinny nas niepokoić, czy śmieszyć. W końcu bowiem wszystko zależy od tego, kto owe sądy wypowiada. Jeśli bowiem jakiś prezes od kultury apodyktycznie stwierdza, że „najwybitniejszą polską piosenkarką jest Urszula Sipińska, potem długo, długo nic i — Ewa Demarczyk, to może taki sąd mnie niepokoić, choć, oczywiście, piosenkarki, nawet tak wybitne jak Demarczyk, nie stanowią o kulturze. Ale ów przedziwny sąd może niepokoić, bo świadczy o prze-

sunięciach w widzeniu proporcji u prezesa, który kulturą kieruje. Skutki tego widzenia mogą więc niepokoić.

Ale już tylko śmieszą apodyktyczne cenzurki różnych domorosłych zółłów, których wpływ na politykę kulturalną jest znikomym. Ostatnio bardzo się ubawiłem, czytając studenckie pismo, wydawane w Warszawie.

Na ostatniej stronie straszliwie zgromiono tam młodego autora, który opublikował w innym młodzieżowym piśmie sonet. Wiersz był w istocie dość banalny. Ni mniej ni więcej. Apodyk-

tyczni zolle natomiast okrzyknęli ów sonet mianem „plodu niedonoszonego”, mianem wiersza „typowo grafomańskiego... Furia i pewność siebie, z jaką zatakowano wierszyk konwencjonalny, lecz poprawny zabrzmiała jednak szczególnie śmiesznie, gdy spojrzalem na stronę przedostatnią owego pisemka.

Oto ci sami ludzie, którzy tak apodyktycznie osadzają banalny sonet, drukują na swych łamach „na prawach literackich, zupełnie niebanalną grafomanię. Nazywa się to „Mgła” i brzmi tak: „bezszelestna mgła — obdarła — myśl o folklorze wrzuciła — bez drzewca sztandar — wniosła — w wypowiedziane minuty — z kalejdoskopu — dała — życiu chwili swej ulamek — na niezapomniane pustkowie — w konsystencji zmysłów — zaprzedała kolor — cienia — w melancholii nocy

— ozdobiła różami — popiół swoich kształtów”.

Jest to rzeczywiście „niezapomniane pustkowie” jakiegokolwiek poetyckiej myśli, jest to bełkocik tak kliniczny, że człowiek rozgląda się za lancetem lub strzykawką, aby nakłuł ten balon z antypoezją, wypuścić zeń powietrze... Przepraszam — mgle.

Tak więc, jak widać, apodyktyczność niejedną ma postać. Pierwsza gromi banalność poprawności, druga nobilituje bełkot i grafomanię. I to wszystko niejako „jednym tchem” na dwóch stronach tego samego pisma.

Apodyktyczność w ocenach młodych zółłów śmieszy — jest zabawna w swojej niekompetencji, niekonsekwencji i pomieszanu proporcji. Śmiejemy się, bo wiemy, że studencki zółł nie jest w stanie wykląć sonetu i nobilitować bełkocik pseudonowoczesny. Może pohuki-

wać i miotać epitetami — nic więcej. Dlatego jest tylko śmieszny.

Jeśli jednak zjawia się ze swym apodyktycznym sądem zółł — prezes, to choć również jego oceny świadczą o niekompetencji, niekonsekwencji i pomieszanu proporcji niepokoiły się. Bowiem zółł — prezes ma prawo decyzji i skutki jego apodyktyczności walą nas później po głowie.

Dziwnym drogami chadzają słowa po ścieżkach polszczyzny. Przecież, o czym dawno zapomnieliśmy, greckie apodiktikos znaczy: wykazujący, dowodzący... Dziś apodyktyczność niczego nie wykazuje, niczego nie dowodzi — po prostu stwierdza tak i tak, bez dowodu, bez argumentów, nie dopuszczając sprzeciwu.

Sonet młodego autora jest „grafomański” — bez dyskusji. Mglisty bełkocik innego młodego autora jest

WIDOK

WIDOK

WIDOK

WIDOK

WIDOK

LEWYM OKIEM!

JESZCZE JEDEN PROGRAM DZISIAJ...

To już zaczyna zdumiewać i przerażać, ile wykonujemy skomplikowanych i niezmiernie uciążliwych zajęć zamiast zająć się czymś naprawdę. Mechanizm niby — działań doskonalę się z dnia na dzień i osiągnął stadium precyzyjnego systemu, wykluczającego działania inne, takie, które jakoś sprawdzałyby się w namacalnej, codziennej praktyce. Parę lat temu pisałem już felieton o Tybetańczykach. W Tybecie żyją właśnie tysiące mniichów zajętych bez reszty liturgią, magią, obrzędem, a więc czymś samym w sobie, czymś co z rzeczywistością nie kontaktuje i wcale kontaktować nie musi. Kto wie, czy nasz rodzimy tybetanizm nie przerasta wzorów oryginalnych...

Dzieje się na przykład tak. Dość wysoki szczebel zarządzania przemysłem, nazwijmy go szczeblem A, w wyni-

ku rozmowy kogoś z kimś albo rzuconej gdzieś na konferencji uwagi, albo jakiegoś pisma lub choćby notatki w prasie, poleca szczeblowi branżowemu, powiedzmy szczeblowi B, zreferować jakiegoś zagadnienie z działalności danej branży, przy czym referat ma uwzględnić punkty takie i takie. Punktów jest oczywiście kilkadziesiąt i wynika z nich, że referat powinien powiedzieć o wszystkim co jest, co było, co byłoby gdyby i co być może będzie. Poza tym powinien się zakończyć wnioskami, opinią przekonsultowaną i uzgodnioną z kilkunastoma różnymi organami oraz wyliczeniem potrzeb warunkujących realizację wniosków i przewidywanej reakcji wyniki. Całość należy przedłożyć szczeblowi A w ciągu trzech dni, z wykreślaniami, podkładkami i podpisaniami, w dwudziestu egzemplarzach.

Ponieważ wiadomo, że przepisywanie na maszynie i powielenie na kserografie musi trwać jeden dzień, a zebranie dwóch dyrekcyjnych podpisów — drugi dzień, na napisanie referatu o wszystkim co było, będzie itd., na wyliczenie potrzeb i wyników, wymyślenie wniosków — pozostaje również jeden dzień. Nie myślcie, że przesadzam, robimy te rzeczy na morgi. Paru urzędników zamyka się w pokojach, piją kawę, nie przyjmują telefonów, nie wychodzą do toalety, zapominają o nadkwasocie, korzonkach, odciskach i stenokardii — piszą. Piszą do nieprzytomności. O wszystkim, czyli o niczym. Po trzech dniach umysłny pracownik, umysłnym samochodem (bo do pociągu dwie godziny, a tam ponaglenie za ponagleniem, różne takie „nie mnie nie obchodzi” i „musi być i już”), wiezie całość szczeblowi A.

Po dwóch miesiącach cieszę, wypełnionej zresztą nieustannym pisaniem podobnych referatów pod różnymi tytułami, a zawsze o wszystkim, czyli o niczym, przychodzi polecenie niezwłoczno szczegółowego udokumentowania wniosków, potrzeb i spodziewanych wyników. Potem polecenie uzupełnienia, potem nakaz przeróbki i dopisanie

o tym co mogło być a nie było.

Potem referat jest poddany pod dyskusję, zakończoną powzięciem uchwały. Szczebel B otrzymuje uchwałę z poleceniem opracowania programu jej realizacji w ciągu trzech dni, czyli jednego dnia. Paru urzędników (przeważnie wciąż tych samych, inni tymczasem chodzą, myślą o czym by tu myśleć, piją kawę i rozpamiętują nadkwasotę) zamyka się, nie wychodzą do toalety itd. Umyslny jedzie samochodem żeby zjadł. Program się uzupełnia i przepracowuje. Potem się zatwierdza z poleceniem opracowania harmonogramu realizacji programu. Potem przychodzi polecenie maksymalnego przyspieszenia i przekroczenia realizacji harmonogramu programu przy czym oczywiście należy opracować program i harmonogram przyspieszenia i przekroczenia realizacji harmonogramu programu. Jednocześnie ustala się obowiązek składania co dekadę meldunków z sukcesywnej realizacji tego wszystkiego, o którym to obowiązkowi na szczęście wszyscy szybko zapominają, przytoczeni nawalem zajęć nad przygotowaniem nowego referatu i programu.

Taki program to średnio trzydzieści stron maszynopi-

su nabytych tysiącami liczb, to kilkadziesiąt mniej lub więcej jasnych i jednoznacznych, a rzadko — konkretnych, wniosków. Takich programów w pewnej branży opracowano w ciągu półrocznej trzynaście (tak, trzynaście). To jest około czterystu stron samych liczb. Poniżej szczebla B nikt tego nigdy nie będzie oglądał i czytał, a na szczeblach A i B... również nikt. To przecież niemożliwe! Liturgia spełniona, szafy puchną, czasem jeszcze w zamęcie bieżącego programotwórstwa mignie jak zły duch jadowity monit dotyczący któregoś z tysięcy postulatów jednego z dziesiątków programów sprzed roku, dwóch lat, trzech lat. Wtedy panicznie przekopuje się regały szaf, odkurza stertę papieru, a ktoś ze zdolniejszych pisarsko urzędników przyprowadza bieżącą sprawozdawczość tak, żeby wyglądała na meldunek z wykonania właśnie tamtego przedhistorycznego wniosku.

Otóż to chciałem na dzisiaj powiedzieć, a zakończyć — jako pojętny adept obowiązującej liturgii — wnioskiem: czy nie najwyższy czas, żeby opracować program sporządzania programów? Harmonogram uzgadniania harmonogramów? Mniejsza o przemysł i o jego zarządzanie, na to i tak

nie ma czasu, ale przepustowość powielaczy i kserografów już jest na granicy wytrzymałości. Czy nie należałoby zająć się wyczerpująco zreferowania tej sprawy w ciągu najbliższych trzech dni?

ĆWIEK

KOMUNIKAT WARUNKI PRENUMERATY CENA PRENUMERATY KRAJOWEJ:

rocznie: 78,- zł, półrocznie: 39,- zł, kwartalnie: 19,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 30 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują Urzędy Pocztowe oraz listonosze.

Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach, zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem Oddziałów i Delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”.

Pozostałe — mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma Oddziałów i Delegatur zamawiają prenumeratę za pośrednictwem Urzędów Poczтовых.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch” Biuro Kolportażu Wydawnictw Załączniczych, Wronia 23, 00-840 Warszawa. Konto PKO Nr 1-6-100024.

Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40 proc.